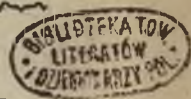


Do księgozbiorn
Towarzystwa Literatów w Warszawie
Subw.

Wydawnictwo „Scena i Sztuka“ № 2.



„U ŹRÓDŁA CNÓT”

KOMEDJA w 4-ch AKTACH

PRZEZ

Jana Adolfa Hertza.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

30-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 7
Tel. 26-68-63

Zastrzega się prawo wystawienia na scenach
zawodowych i amatorskich.

Po pozwolenie zwracać się należy do redakcji
tygodnika „Scena i Sztuka.”

WARSZAWA

Skład główny w Adm. tyg. „Scena i Sztuka.”

1910.

<http://rcin.org.pl>

TEATR ROZMAITOŚCI.

Czwartek, 14 kwietnia 1910 r.

I-szy R A Z

U źródła cnót

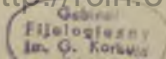
Komedja w 4-ch aktach Jana Adolfa Hertza.

ZARĘBSKI	pp. Antoni Bednarczyk
ZARĘBSKA	Aniela Bogusławska
BOLESŁAW	Wojciech Brydziński
KAZIMIERZ	Ludwik Wostrowski
Dr. WOLSKI	Władysław Wojdałowicz
ZOFJA	Felicja Pichorówna
TAPICER	Henryk Kawalski
CZELADNICY }	Marjan Tatarkiewicz
}	Michał Uszyński
FRANCISZKOWA	Magdalena Micińska
MAGDA	Marja Hertzowa
JAN	Seweryn Jasielski.

Reżyserował Antoni Bednarczyk.

20215

<http://rein.org.pl>





A K T I-szy.

W nader obszernym i bardzo bogato urządzonej pokoju jadalnym, właściciel tego mieszkania, elegancki 55-cio letni p. Adam Zarębski, rozsiadł się arcy-swobodnie w bujającym fotelu i przegląda swoje stałe do poobiedniego trawienia dobrze mu robiące pismo, jego zaś może o rok młodsza, dość przystojna i na uosobioną dobroć wyglądająca żona kończy przy stole kawę.

Zarębska (*zmartwiona*). Mówię ci, że i tej nocy nie spał; byłam parę razy pode drzwiami jego pokoju i za każdym razem słyszałam kroki: wciąż chodził tam i napowrót.

Zarębski. Bo myśli zapewne nad swoją pracą.— (*z dumą*) — Akademia, moja kochana, nie darmo daje nagrody i nie wszystkim.

Zarębska. Ty myślisz tylko o nasyceniu twej próżności, a ja, choć się z tego cieszę, że go uznano, wyrzekłabym się wszystkich nagród i odznaczeń byleby tylko był zdrow.

Zarębski. Stasiu! mnie się zdawać zaczyna, że ty jesteś nerwowo chora, a nie on: wmawiasz chłopakowi jakąś chorobę. Przecież chodzi, pracuje...

Zarębska. Ale jak wygląda, jak jada... Nie pojmuję doprawdy jak ty możesz być tak spokojny, wtedy, kiedy ja drżę z niepokoju.

Zarębski. Ależ, Stasieczko najdroższa, cóż ja mogę więcej zrobić; pomogłem ci namówić Bolka na tę wizytę lekarską i zamówiłem najlepszego w mieście doktora. Zresztą niema najmniejszego powodu do niepokojenia się, bo o ile mnie się zdaje...

Zarębska. Tobie się zdaje, a ja widzę, że on co dzień gorzej wygląda, że nie sypia po nocach.

Zarębski. Tak, to prawda, że źle wygląda, ale to chyba tylko z przepracowania. Trzeba będzie wpłynąć na doktora, żeby go namówił na wyjazd do Abazji — (*serdecznie*); — wyjedziemy wszyscy razem, będziemy go doglądali — wypocznie i rychło się poprawi, zobaczysz, Stasieczko...

Zarębska. Żeby się tylko zgodził; wiesz przecież, że nie chciał nawet na tydzień do Zarębia wyjechać, bo, jak powiedział — niema na to czasu — (*słychać dwukrotne dzwonienie*). — To Bolesław dzwoni.

Jan (*wchodząc*). Jestem.

Zarębska. To pan doktor dzwonił.

Jan (*półszepem do Zarębskiego*). Pan doktor będzie się zapewne pytał o książki...

Zarębski (*również cicho*). Powiesz, żeś był w księgarni i że jeszcze nie nadeszły.

Jan. Słucham jaśnie pana (*idzie do pokoju na lewo*).

Zarębski. Ciągłe by tylko czytał: ani się przejsć, ani do znajomych, ani teatr, tylko książki i książki...

Zarębska (*z rozrzewnieniem*). Takie to już pracowite od dzieciństwa; pamiętasz...

Zarębski (*opryskliwie*). Pamiętam, pamiętam, i dlatego właśnie teraz źle wygląda (*z uśmiechem zadowolenia*). Wiesz, jak mi się ten figiel z książkami uda,— będzie musiał przynajmniej ze dwa dni odpocząć.

Zarębska (*wzdychając*). Znajdzie sobie inne, ma ich pod dostatkiem.

Zarębski (*zadowolony*). Ale te właśnie są mu teraz potrzebne.

Jan (*wróciwszy — do Zarębskiego szeptem*). Pan doktor się okropnie gniewał, kazał mi pójść do księgarni i powiedzieć, że jak do jutra książek nie będzie, to pan doktor u nich kupować przestanie.

Zarębski. No to tak za pół godziny zajdziesz do pana młodego i powiesz, żeś był w księgarni i że powiedziano ci, że książki będą dopiero na czwartek.

Jan (*nieśmiało i z bojaźnią*). A jak pan doktor się zniecierpliwi i sam pójdzie do księgarni i dowie się, że książki już wczoraj odebrałem.

Zarębski. Wtedy ja młodemu panu powiem, że ci tak mówić kazałem (*dzwonek*). Dzwonią.

Jan (*wychodząc*). Idę.

Zarębska. O której doktor ma przyjść?

Zarębski. Kazio mówił, że pomiędzy czwartą a szóstą.

Zarębska. A teraz która?

Zarębski (*patrzy na zegarek*). Osiem po piątej.

Kazimierz (*dwudziestopięcioletni zgrabny, wymuskany i łysawy już nieco Don—Juan—za drzwiami jeszcze*).

Z Jana to już chyba nigdy pociechy nie doczekam (*wchodzi wraz z Janem*). Już doprawdy wielki czas, żeby Jan nauczył się rozpoznawać ten charakter pisma. Mówiłem tyle razy, żeby listów tym charakterem pisanych nie przyjmować od posłańców. Przecież te duże, krzywe, obrzydliwe litery tak łatwo rozpoznać...

Jan (*idąc za Kazimierzem*). Przepraszam jaśnie pana bardzo, ale ja temu nic nie jestem winien; posłaniec ten liścik zostawił u windziarza.

Kazimierz. No, dobrze już, dobrze. (*trzymając w ręce paczkę liścików, wita się z Zarębską, całując ją w rękę, a potem podaje rękę Zarębskiemu. Jan wychodzi*). Przepraszam ciocię bardzo, ale doprawdy w żaden sposób na obiedzie być nie mogłem.

Zarębski. Żałuj, bo był bajeczny.

Kazimierz (*wesoło*). Jadłem wprawdzie gorszy, ale zapewniam wuja, że na litość wcale nie zasługuję.

Zarębski (*zartobliwie*). To taki był ten twój ważny interes, ty, ty bezwstydniku...

Kazimierz. Wuju: Honny soit qui mal y pense (*nalewa sobie z maszynki kawowej filiżankę kawy, dolewa do niej likieru i, rozpieczętowując i przeglądając listy, pije kawę*).

Zarębska. Kaziu, czy tylko doktor z pewnością przyjdzie?

Kazimierz. Powiedział, że przyjdzie z pewnością, należy jednak być przygotowanym na to, że się może

spóźnić o godzinę, a nawet—dwie. Pojęcia ciocia nie ma, co się dzieje u niego w poczekalni: dostać się nie można. (*wesoło*) Wie ciocia, żebym nie miał zamiaru poświęcić się adwokaturze, tobym się postarał o miejsce lokaja u Wolskiego, albo u innej powagi lekarskiej; ludzie się pchają a fagas doskonale spienięża numerki (*czyta listy*).

Zarębski. Obfitą masz dziś korespondencję.

Kazimierz (*wesoło*). Aż za obfitą, wujaszku.

Zarębski (*również wesoło*). A wszystko to różowe i perfumowane.

Kazimierz. Nie wszystkie różowe, ale wszystkie perfumowane.

Zarębski. Ty, ty młodoturku... niepoprawny.

Kazimierz. Zapewniam wuja, że niema czego mi tak bardzo zazdrościć tej obfitości perfum, bo niektórych zapachów zupełnie nie znoszę...

Zarębski. Zwłaszcza jeśli się do nich zanadto przyzwyczaiłeś.

Kazimierz. Przed chwilą nazwał mnie wuj młodoturkiem, a oni przecież lubią postęp i wciąż nowe reformy (*czyta list, krzywi się przytem arcykomicznie*).

Zarębski. Oj, ten list nie bardzo ci smakuje; muszą w nim być pioruny.

Kazimierz. A tak, tylko całkiem nieszkodliwe, bo to właśnie od tej dymisjonowanej Jowiszki.

Zarębska. Oj, ty, ty łobuzie... kiedyż ty nareszcie spoważniejesz?..

Kazimierz. Zdaje mi się, że nigdy -- już straciłem nadzieję. Zresztą w tych ciężkich czasach na zby-

tek nie wszyscy sobie pozwolić mogą, a świętość to wielki — wielki zbytek. W tych warunkach, proszę cioci, należy się ograniczać i pamiętać o tem, że w jednej rodzinie więcej, niż jeden święty być nie może, a my przecież mamy już świętego... Bolesława...

Zarębska (z *dobrym uśmiechem*). Wiem, że Bolesławi pod tym względem nie dorównasz, ale mógłbyś przynajmniej choć trochę się na nim wzorować.

Kazimierz. Zresztą, cioteczko, i ja jestem nieco spokrewniony z świętością, ale tylko etymologicznie: pasjami lubię świętować... (*słuchać dzwonek*). Może doktor...

Zarębski (*zrywając się z krzesła*). Prawdopodobnie (*wychodzi do przedpokoju — po chwili słuchać go mówiącego*). Witam szanownego doktora — proszę.

Dr. Wolski (*jeszcze za drzwiami*). Wolalbym odrazu do pokoju, w którym mógłbym zbadać pacjenta.

Zarębski. W takim razie proszę tędy.

Dr. Wolski (*o wyglądzie szanownego i szanującego się arystokraty, wchodząc*). Moje uszanowanie pani (*Kłania się Zarębskiej i podaje rękę Kazimierzowi*). Dobry wieczór panu! (*do Zarębskiej*). To pani jest łaskawą pacjentką?

Zarębska. Nie, nie ja — syn.

Dr. Wolski. Nasz młody uczonec?

Zarębski. Tak, konsyljarzu!

Dr. Wolski. A to trzeba jaknajprędzej go wyleczyć dla dobra nauki naszej. Powinszować państwu: w tak młodym wieku nagroda Akademji i za tak poważną historyczną pracę, to się rzadko, bardzo rzadko zdarza.

Zarębska. Mybyśmy woleli, żeby nam był zdrów — mamy tylko jego jednego.

Dr. Wolski. Jedynek?

Zarębska. Tak, panie doktorze.

Dr. Wolski. I ani córek?

Zarębska. Nie, panie doktorze.

Dr. Wolski (*do Zarębskiego*). A to może pan sobie powinszować, że nie jest francuzem.

Zarębski. A to dlaczego?

Dr. Wolski. Bo ten wściekły Margueritte wyzwałby pana na pojedynek za ten czyn niepatrijotyczny, albo obłożył takimi podatkami, że musielibyście państwo emigrować (*śmieje się głośno z własnego dowcipu, Zarębski i Kazimierz wtórują mu*).

Zarębska. Taka jestem strapiona. W tej chwili o niczem innym myśleć nie mogę tylko o jego zdrowiu.

Dr. Wolski. Tak? A cóż to jest naszemu choremu.

Zarębska. Dokładnie nie wiem...

Zarębski. On nawet utrzymuje, że mu nic nie jest.

Zarębska (*z drzeniem w głosie*). Taki jest zmieniony i dlatego tak się obawiam...

Dr. Wolski. No, niech się pani nie denerwuje... A czy mu co dolega?

Zarębski. Bóle głowy, brak apetytu.

Zarębska. I bezsenność, panie doktorze.

Dr. Wolski. No tak. Zobaczymy, zobaczymy... (*spogląda na zegarek*).

Kazimierz (*cicho do Zarębskiej*). Ciocia Bołka uprzedziła?

Zarębska. Tak.

Dr. Wolski. A gdzie łaskawy pacjent?

Zarębski. W tej chwili panie konsyljarzu (*wołając*) Bolciu!

Bolesław (*ze swego pokoju*). Co, proszę ojca? (*po chwili wchodzi*).

Zarębski. Pan doktor przyszedł. (*do Wolskiego*)
Oto właśnie pacjent.

Dr. Wolski (*ściskając rękę Bolesława*). Miło mi poznać autora tak cennego dzieła — czytałem, czytałem.

Bolesław. To mnie cieszy.

Dr. Wolski. To jest czytałem w „Kurjerze“, bardzo, bardzo pochlebne rzeczy. Gdzież jabym, proszę państwa, znalazł czas na przeczytanie takiej grubej książki. Ja przy mojej praktyce nawet na nasze zawodowe prace pozwolić sobie nie mogę. Młodzi mają czas — niech czytają. My też wiele czytamy, ale tylko z księgi życia — pacjent to nasza książka, najlepsza, najbardziej miarodajna. Tak...

Bolesław (*o nader sympatycznej, uduchowionej twarzy — zażenowany*). Rodzice wmawiają we mnie jakąś chorobę, ale ja doprawdy...

Dr. Wolski. Wcale się temu nie dziwię, że drżą o zdrowie takiego syna (*przygląda mu się bacznie*). No, ale zobaczymy to, zobaczymy.

Bolesław (*wskazuje drzwi po lewej*). Może pan doktor będzie łaskaw... (*Wolski wychodzi, za nim Bolesław. Po wyjściu ich przez pennę dość długą chwilę panuje przykra cisza*).

Kazimierz. Bardzo się Bolek gniewał, gdy mu ciocia oznajmiła wizytę lekarza?

Zarębska (*czule*). On by się gniewał, czy taki anioł się gniewać umie? Powiedział, że jest wprawdzie zdrowszy zupełnie, ale skoro wizyta doktora ma mnie uspokoić to się na nią zgadza (*pauza*). Czy widziałeś jak teraz wyglądał? Czy tak ludzie zdrowi wyglądają?

Zarębski (*również teraz nieco zaniepokojony, chce jednak uspokoić żonę*). Zapewne, zapewne, że nie świetnie wygląda, mam jednak nadzieję, że to nic nie jest.

Zarębska. Dałby to Bóg... (*wzdycha*).

Kazimierz. Niechże się cioteczka nie trapi — dotychczas niema najmniejszego powodu.

Zarębska. Czy wy mnie macie za dziecko, czy co?

Zarębski. Ale poczekajmy — usłyszymy co doktor powie.

Zarębska. Żeby tylko przed nami prawdy nie ukrył.

Kazimierz. Ależ, moja ciociu, co ciocia też wykombinowała! Przedewszystkiem pewny jestem, że nie będzie miał nic do ukrywania, a następnie wiem, że lekarz może, w razie, gdy widzi coś niebezpiecznego, nie powiedzieć tego pacjentowi, ale rodzinie mówi wszystko. (*Zarębska znów wzdycha*). No, ciociu.

Zarębski. Przestań już wzdychać, moja kochana, i tak jestem dość zdenerwowany. (*Rozmowa się urywa. — Znów długa, przykra pauza*).

Kazimierz (*widząc, że Zarębska jest coraz niespokojniejsza*). Wie ciocia co, zagramy sobie partyjkę (*ustawia stółik do kart*).

Zarębska. Daj mi teraz spokój z kartami...
(*Znowu dłuższa pauza, podczas której niepokój Zarębskiej wzrasta coraz bardziej, Kazimierz ze znużoną miną buja się w fotelu, a Zarębski, niemniej zdenerwowany niż żona, udaje, że przegląda pismo*).

Zarębski (*śmiejąc się sztucznie*). A to zabawna historja! (*do żony, chcąc oderwać jej uwagę ode drzwi pokoju syna*). Przeczytaj to sobie (*wstaje i podaje jej gazetę*).

Zarębska. Dobrze, później to przeczytam (*długa pauza*). Miałeś przecież poprosić doktora, aby namówił Bolcia na wyjazd do Abazji.

Zarębski. Ach, Boże! zapomniałem.

Zarębska. Jak mogłeś...

Zarębski. No, stało się, zapomniałem. Ale to się może da jeszcze jakoś załatwić. (*Rozmowa znów się urywa*).

Zarębska. Co to tak długo trwa?

Kazimierz. Zdaje się cici — dopiero co doktor wszedł.

Zarębski. Kaziu! wiele mu trzeba dać?

Kazimierz. Przypuszczam, że dziesięć rubli.

Zarębski. Może masz dziesięciorublowkę, bo ja zdaje się.

Kazimierz. Mam (*wyjmuje z pugilaresu banknot i podaje Zarębskiemu*).

Zarębski. Dziękuję, zaraz ci zwrócę (*dzwoni*).

Jan (*wchodząc*). Co jaśnie pan każe?

Zarębski (*wręczając Janowi pieniądze*). Zejdziesz na dół i zmienisz sto rubli.

Kazimierz. Ależ, wujaszku, przecież się nie pali.

Zarębski (*do Jana*). Idź. (*Fan wychodzi — do Kazimierza*). I tak zmienić muszę, nie mam nic drobniejszych.

Bolesław (*wchodząc z Wolskim*). Pan doktor będzie łaskaw uspokoić mamę.

Dr. Wolski (*powściągliwie*). Nic znaleźć nie mogłem (*dwuznacznie*). Moja wizyta była całkiem niepotrzebna.

Bolesław (*serdecznie*). No, widzi mateczka (*całuje ją w rękę*).

Zarębska (*rozpromieniona*). Chwała Bogu! chwala Bogu!

Bolesław (*serdecznie*). Teraz matuchna będzie już pogodna, wesoła, prawda?

Zarębska. Tak, synku, tak.

Bolesław (*z uśmiechem*). Pan doktor doprawdy spełni dobry uczynek jeśli mamę wyłaje za jej zbytnią troskliwość o mnie.

Dr. Wolski. Zrobię to, zrobię (*siadając*). Państwo pozwolą, że chwileczkę u nich odpocznę.

Zarębscy (*oboje*). Ależ prosimy, bardzo prosimy.

Dr. Wolski. Jeździ się wprawdzie, ale to nic, bo najgorszą rzeczą, przynajmniej dla mnie, są schody. Państwo sobie nawet wyobrazić nie możecie ile ja piętr dziennie odrabiam. Dawniej nie robiło mi to tak wielkiej różnicy, choć nie miało się jeszcze powozu, chodziło się pieszo i po schodach się chodziło.. To dziwna rzecz: do powozu przyzwyczailem się w przeciagu jednego tygodnia, a do tych schodów przeklętych do dziś

dnia przyzwyczać się nie mogę (*śmieje się nader głośno z tego dowcipu*). Człowiek się starzeje... Wówczas jednak tyle piętrowych się nie odrabiało, bo nie było... tylu pacjentów...

Zarębski (*podając pudełeczko z cygarami*). Może, panie konsyljarzu, cygareczko — polecam.

Dr. Wolski (*biorąc cygaro*). Bardzo chętnie, dziękuję uprzejmie (*Kazimierz podaje mu zapaloną zapalną*). Dziękuję (*zapala cygaro*). Rzeczywiście bardzo... bardzo dobre (*pali przez chwilę*). O, pan dobrodzieju, widzę znawca.

Zarębski. Tak, przyznaję, lubię dobre cygara.

Kazimierz. Zdaje się, że to jedyna pasja wujka.

Dr. Wolski. W naszych latach tylko to nam pozostaje: dobra kuchnia i dobre cygaro.

Kazimierz. Chi lo sa, chi lo sa... (*Zarębski i Wolski śmieją się głośno*).

Dr. Wolski (*po chwili*). Wiele też państwo płacą za to mieszkanie?

Zarębski. Tysiąc trzysta.

Dr. Wolski. A pokojów wiele?

Zarębski. Sześć.

Dr. Wolski. Warto, warto; sama winda, jak dla mnie warta ze dwieście rubli rocznie. Gdyby tak we wszystkich domach były windy, toby to nam lekarzom z wielką praktyką przedłużyło życie o dziesięć lat każdemu.

Bolesław (*zażenowany*). Przepraszam pana doktora, ale mam tak pilną pracę.

Dr. Wolski. Ależ proszę, proszę, niech sobie doktor nie przeszkadza.

Bolesław (*podając rękę Wolskiemu*). Dziękuję panu doktorowi i przepraszam (*wychodzi*).

Zarębska. Znowu do tych książek; zabierają go nam zupełnie.

Dr. Wolski (*cedząc słowa*). To dobrze, że nasz młody uczoney taki gorliwy, dobrze i niedobrze... (*ciszey do Zarębskiego*). Chciałbym z panem na osobności pomówić — może pan do mnie...

Zarębska (*która już od pennego czasu jest zaniepokojona, podejrzewa, że doktor przed nią coś ukrywa, śledzi każdy jego ruch i wyraz twarzy, spostrzegłszy to — zrywa się*).

Panie doktorze. Pan coś przedemną ukrywa. Miej pan litość, przecież to jedyne moje dziecko.

Dr. Wolski. Ależ nic, pani dobrodziejko, nie ukrywam.

Zarębska. Widzę, że z dzieckiem mojem jest niedobrze (*wybuchu płaczem*).

Kazimierz (*przystępując do Zarębskiej*). Ależ, cioteczko...

Zarębski (*również wylękniony*). Konsyljarzu, mam nadzieję, że niema przecież niebezpieczeństwa...

Zarębska (*płacząc*). Ja jestem matką, powinnam wszystko wiedzieć.

Zarębski. Niech konsyljarz będzie łaskaw nam tu powiedzieć, bo tak, oprócz niepokoju o zdrowie syna i ona mi się rozchorować może: będzie mi po całych dniach i nocach płakała i, choćym jej później powtó-

rzył, to co mi pan doktor powie, nie uwierzy — zawsze będzie szukała jeszcze czegoś gorszego.

Dr. Wolski (*mówi zawsze powoli*). Ależ zapewniam państwa, że nic znów tak poważnego niema, że nie chcę nic przed panią ukryć... tylko proszę pani, przykro jest o niektórych rzeczach mówić przy paniach... Pani dobrodziejka przecież to chyba pojmuje. (*Kazimierz robi taką minę, jakby chciał powiedzieć „Aha“*).

Zarębska (*podejrzewa, że to wykięt*). Ja przecież jestem matką — idzie tu o moje dziecko. Nie będę miała spokoju. Zaklinam pana — niech mi pan powie prawdę.

Dr. Wolski. Więc tak zupełnie bez opłatka?

Zarębski. Proszę pana, panie konsyljarzu.

Dr. Wolski. Ha, trudno, ulegam, chociaż, przyznaje, bardzo niechętnie. (*Kazimierz się wysuwa*). To będzie i panią dobrodziejkę krępowało i mnie. Doprawdy, że mi to przyjdzie z trudnością.

Zarębska. Słuchamy pana doktora.

Dr. Wolski (*mówi z godnością i namaszczaniem*). Rzeczywiście bardzo dobre cygaro (*pali*). Oto są przykrości naszego zawodu. (*Zarębska błędnie*). Ależ zapewniam panią dobrodziejkę, że nic groźnego niema. Przykrość naszego zawodu polega bardzo często na tem, że są dwie etyki: etyka ogólnoludzka i etyka specjalna, lekarska (*oboje Zarębscy są zniecierpliwieni*). Otóż, proszę państwa, etyka lekarska staje niekiedy wpoprzek, że tak plastycznie to określe, etyce ogólnoludzkiej. Taki właśnie casus i tu zachodzi. Ale, proszę państwa — (*pali cygaro*) wyśmienite cygaro... — proszę mnie zrozumieć

— dla lekarza etyka lekarska jest kodeksem jedynie obowiązującym, nam lekarzom iść powinno przede wszystkim i li tylko o zdrowie naszych pacjentów.

Zarębska (*blagalnie*). Ależ, panie doktorze — ja chciałabym wiedzieć co jest ze zdrowiem naszego dziecka...

Dr. Wolski (*krzywi się, jest niemile dotknięty, że ośmielono się przerwać jego orację*). W tej chwili (*uśmiecha się niemile*). Powoli, pani dobrodziejko, powoli.

Otóż proszę pana, mówiłem, że nas lekarzy jedynie obowiązuje i obowiązywać powinna etyka lekarska, etyka zawodowa, ale my, proszę pana (*specjalnie zwraca się tylko do Zarębskiego, aby dać poznać jego żonie, że jest na nią zagniewany za przerwanie mu*), po-
zatem, że jesteśmy lekarzami, jesteśmy także ludźmi i to właśnie, jak w tej chwili, wytwarza takie konflikty... że niekiedy nasza misja lekarska jest doprawdy (*wzdycha*) bardzo trudna, bardzo ciężka (*pali cygaro*). Jeszcze raz, zanim przystąpię do rzeczy, zaznaczam, że to co powiem, powiem z dużą przykrością (*pali cygaro*), ale powiem, bo mi tak każe moje sumienie lekarskie (*Zarębscy są z każdą chwilą coraz bardziej zmierplinieni*). Otóż, proszę państwa, pani dobrodziejko proszę mi wierzyć, że mi jest nader przykro mówić wobec damy, czynię to jednak tylko dla spokoju pani, bo ostatecznie nic groźnego niema. Otóż, proszę państwa, jako człowiek, jako Juljan Wolski — powinienem się bardzo cieszyć, że teraz w naszych czasach rozwiąłości, zepsucia i tak dalej—znalazłem taką, że tak

powiem, *rara avis*, takiego unikata, jakim jest syn państwa, powinienem sobie, jako człowiek, mieć za zaszczyt, że widzę człowieka (*do Zarębskiego*) — ile lat ma syn państwa?

Zarębski. Dwudziesty szósty, panie konsyljarzu.

Dr. Wolski (*kończąc zdanie*). Dwudziestosześcioletniego, który, panie dobrodzieju, zachował taką świeżość, (*jąka się*), który tak się przejął zasadami myśliciela Tołstoja, który mógłby być wzorem nawet dla takiej pani Very, autorki tej niemieckiej książeczki—jakże się ona nazywa, aha: „Eine für viele“ (*do Zarębskiego*). Pan dobrodziej może czytał, bo to spolszczone, zdaje się, że tłumaczyła żona jednego (*z przekąsem*) z młodych lekarzy.

Zarębski. Nie, panie doktorze, nie czytałem.

Dr. Wolski. Otóż, jak powiedziałem, jako Julian Wolski, powinienem się z tego cieszyć, ale jako doktor Julian Wolski muszę państwu powiedzieć, że są pewne żelazne prawa natury, których łamać nie wolno, których zresztą łamać nie można, bo one są silniejsze i same z łatwością, z wielką łatwością oponenta, tego który chce iść przeciw nim—łamią, tak jest łamią, bezwzględnie łamią, proszę państwa (*Zarębska popłakuje*). Jeszcze raz powtarzam, że jako człowiek, mogę tylko państwu powinszować takiego syna, ale jako lekarz muszę ostrzedz i powiedzieć, że jest niedobrze. (*Z bolesną ironją*) Wprawdzie młodzi lekarze pisują teraz dziesiątki broszurek o dodatnich stronach wstrzemięźliwości, ale ja mogę tylko tym pracom przyznać wielką (*jeszcze bardziej ironicznie*) wartość moralną, ale nigdy nauko-

wej, bo ja w swojej długoletniej praktyce nie widziałem jeszcze ani razu dodatnich skutków zupełnej wstrzeźliwości, następstwa zaś fatalne — setki razy. Inna rzecz ekscesy, a inna taka a la Lutosławski wstrzeźliwość zupełna. Przykro mi, ale jako lekarz musiałem to wszystko powiedzieć, bo my lekarze tylko zdrowie (*akcentując*) fizyczne ogółu powinniśmy mieć na względzie. Tak jest, zdrowie, zdrowie i jeszcze raz zdrowie. Tak, proszę państwa, praw natury łamać nie można (*wstaje*), syna ko-niecz-nie ożenić trzeba. Na razie nie ma jeszcze niebezpieczeństwa, ale ciągła umysłowa praca zanadto wyczerpuje, osłabia system nerwowy, a przytem organizm woła o swoje, nie da się nigdy oszukać, jest mściwy, bardzo mściwy. Ja spełniłem swój obowiązek, ostrzegłem—jestem w porządku. Te bóle głowy, bezsenność to są objawy wprawdzie przykre, ale to jeszcze nic groźnego—może być i gorzej. Tak. No, idźmy, bo robota czeka. Moje uszanowanie państwu.

Zarębska. Dziękujemy panu doktorowi.

Zarębski. Ja pana konsyljarza przeprowadzę.

Dr. Wolski (*wychodząc*). Tak, należy naszego młodego uczonego oderwać trochę od tej pracy, należy go trochę rozerwać, a najlepiej ożenić — ożenić. (*wychodzi wraz z Zarębskim*).

(*Zarębska po ich wyjściu jest bardzo strapiona. Po chwili wchodzi Kazimierz, a jeszcze po jakimś czasie Zarębski; wszyscy troje przez dłuższą chwilę milczą*).

Zarębski (*przerywając milczenie—do Kazimierza*)
Słyszałeś co powiedział?

Kazimierz. Nie słyszałem, ale się domyślałem (*po małej pauzie*), dawno się tego domyślałem.

Zarębski. Ładna historia...

Kazimierz. A ładna.

Zarębski. I co teraz będzie? co będzie?

Kazimierz. Ano cóż: bankructwo moralności.

Zarębski. Nie kpij, proszę cię.

Kazimierz. Mówię całkiem serjo, że teraz trzeba będzie skromności ogłosić upadłość.

Zarębska. Boże, Boże...

Kazimierz. Ciocia zapomina o przykazaniu: „Nie wzywaj.“

Zarębski. I nie teraz czas po temu (*Kazimierz się śmieje*). Zapewniam cię, że mnie to wcale nie usposobiło do żartów.

Kazimierz. Ani mnie—zresztą wuj wie, że ja tę sprawę zawsze traktowałem bardzo poważnie.

Zarębski. Nie błażnuj, proszę cię, a radź co robić.

Kazimierz. Sumienie moje jest czyste; ja już dawno spełniłem swój obowiązek: ostrzegałem was zawsze, że ta zbytńia skromność jest jedyną może wadą Bolka, ale wadą dużą. No i co teraz chcecie zrobić z tym fantem?

Zarębski (*smętnie*). A bo ja wiem (*chodzi w zamysleniu przez pokój*). Co robić, co robić...

Zarębska. Przecież słyszałeś: trzeba go ożenić.

Zarębski. Ale jak go ożenić, kiedy on uważa, że żenić się ludzie powinni tylko z miłości, a zakochać się może jedynie chyba w książce, bo nigdzie nie chodzi, nikogo nie widzi.

Zarębska. Ja z nim pomówię, może się ulituje.

Kazimierz. Nie radzę cioci—ciocia wszystko popsuje, bo on na pewnych punktach jest uparty: od tych swoich zasad nie ustąpi, choćby go krajano. Będzie dalej utrzymywał, że ludzie powinni się żenić tylko z miłości, co może jest i słuszne, ale sam nie pójdzie nigdzie, żeby kogo poznać, bo to jest wstrętne takie szukanie, bo miłość powinna przyjść znieačka, niespodziewanie, a zresztą on nie ma czasu na chodzenie i tak dalej. Mówilem już z nim o tem nieraz.

Zarębski. Ty, Kaziu, mógłbyś nam pomódz..

Kazimierz. Bardzo chętnie, ale jak?

Zarębski. Gdybyś tak z nim pomówił, wytłumaczył mu, wyciągnął go, zapoznał ze swoimi kolegami.

Kazimierz (*śmieje się gorzko*). Ależ, mój wujaszku, on i mnie i kolegów moich uważa za bydło. Nie, o tem nawet marzyć nie można.

Zarębska. Biedna moja głowa...

Zarębski (*po chwili*). Może ja z nim pomówię...

Kazimierz. To się na nic nie zda.

Zarębska. Więc co. robić, co robić?

Kazimierz (*powoli*). Moja ciociu, góra do Mahometa nie pójdzie, więc trzeba (*po chwili wahania*) żeby Mahomet poszedł do góry.

Zarębski. Jakto?

Kazimierz. Ciocia doprawdy jest przepracowana, zmęczona, wartoby było, żeby ktoś ciocię w gospodarstwie zastąpił, można znaleźć kogoś.

Zarębska (*oburzona — zrywa się*). Kaziu!

Zarębski. Przestań.

Kazimierz. Nie róbcie takich oczów! Ja nie jestem takim znów potworem jak wam się zdaje.

Zarębski. To wstrętne, co mówisz.

Kazimierz (*powoli*). Zapewne, że to cnotliwe nie jest, ale—niech się ciocia tak na mnie nie patrzy—innej rady niema. Mówię to, bo go kocham nie jak ciotecznego, ale jak rodzzonego brata...

Zarębska. Dosyć! Za kogo ty nas masz...

Kazimierz. Chcę was mieć przedewszystkiem za poświęcających się rodziców. Szkoda by było, żeby Bolek się zmarnował dla jakichś tam mrzonek. Tylko tu u nas, na naszym śmietniku jest to taką krzyczącą potwornością, ale nie w Europie.

Zarębska. Kaziu! jeśli nie chcesz żebym wyszła — przestań!

Kazimierz. Ja nie przestanę, a ciocia, mam nadzieję, nie wyjdzie i wysłucha mnie do końca. W takiej Francji naprzykład ludzie doszli już do tego, iż zrozumieli, że w tem nic gorszącego niema, jeśli dobrzy rodzice nietylko wiedzą o tem, ale sami starają się o to by ich syn miał do pewnego czasu... — mam odwagę nazwać to po imieniu — własną metresę. I słusznie. Byłoby to tylko wstrętne wtedy, gdyby mu kazano uwieść uczciwą kobietę, ale taka pani, która ma już swoją przeszłość i sama tak chce żyć, zawsze sobie znajdzie nabywcę, więc czy ja, czy kto inny—to wszystko jedno. Takie rzeczy należy traktować tylko po kupiecku, uczciwie... płacę, wymagam i nic więcej... Widzę, że ciocia już Requiem śpiewa nad moją potępioną duszą, ale

proszę mi wierzyć, że ona jeszcze żyje — grzebać jej nie należy...

Zarębska. Dość mam tego (*chce wyjść*).

Zarębski. Ależ zostań, proszę cię.

Kazimierz. Ja mówię wam co myślę, i czynię to dla dobra Bolka, a wy róbcie, jak uważacie — oburzajcie się na mnie lub nie — to mi wszystko jedno (*do Zarębskiej, która cicho płacze*). Niech się ciocia uspokoi wreszcie; ja przecież mojej woli cioci nie narzucam, tylko jeszcze raz cioci mówię, że tylko nasze przesady staromieszczańskie robią z takich prostych rzeczy tragedję; zagranicą takie rzeczy i stosunki są chlebem powszednim.

Zarębski (*po chwili wstydliwie*). Wiesz, Stasieczko, że rozważywszy tak wszystko, to Kazio ma może i rację...

Zarębska (*w najwyższym oburzeniu*). Co i ty także...

Zarębski. Bo właściwie...

Zarębska. Nigdy! słyszysz, nigdy!

Kazimierz. Ha, trudno. W każdym razie radzę cioci, żeby ciocia nawet nie próbowała mówić z nim o ożenku, bo on się od swoich książek z domu nie ruszy, rozmowa zaś obudzi w nim podejrzenia, a wtedy wszystko będzie stracone.

Zarębski. A, tak, tak, trzeba żeby o niczem nie wiedział (*do Zarębskiej*). Proszę cię, Stasiu, zastanów się.

Zarębska (*placząc*). Dajcie mi spokój...

Kazimierz. Bardzo szanuję cioci łyzy, ale same one tutaj nic nie pomogą.

Zarębski. Słowa takiej powagi, jak doktor Wolski, powinny nas usprawiedliwić.

Kazimierz. Doktor Wolski uchodzi w świecie lekarskim za nieomylnego, słowa jego — za wyrocznię.

Zarębski. Powinniśmy się poświęcić dla ratowania jedyne go dziecka. Zresztą Kazio ma słuszność, jeżeli się znajdzie taka osoba, która się zgodzi...

Zarębska (*płacząc, prawie jęcząc*). Pod moim dachem...

Kazimierz. Tak, to jedyna konkretna przykrość sytuacji, ale trudno; on pod inny dach nie pójdzie. Tak to jest bardzo przykre, może nawet więcej niż bardzo przykre, ale tu właśnie powinno zwyciężyć poświęcenie cioci, jako matki.

Zarębska (*szlocha*). Ja nie mogę, nie mogę.

Kazimierz. Niech więc ciocia pamięta, że bierze zdrowie Bolka na swoją odpowiedzialność.

Zarębska. Kiedy nie mogę, nie mogę!.. (*wychodzi płacząc*).

Kazimierz (*po wyjściu Zarębskiej*). W takim razie trzeba wszystko zostawić naturalnemu biegowi wypadków.

Zarębski (*naiwnie, zrozpaczony*). Cóż, kiedy on właśnie naturalnemu biegowi wypadków zaprzysiągł wojnę.

Kazimierz (*z uśmiechem*). Wuj mnie źle zrozumiał; chciałem powiedzieć, że trzeba założyć ręce i czekać.

Zarębski. Przednia rada! niema co mówić! Tymczasem on jeszcze bardziej zmarnieje.

Kazimierz. A cóż robić. Moja rada, o ile ja znam Bolka, jest nietylko najlepszą, ale jedyną, skoro zaś ciocia na nią zgodzić się nie chce...

Zarębski (z pewnością). Eh! ciotka się zgodzi — może po pewnym czasie dopiero, ale się zgodzi; wiesz przecież, że niema takiej ofiary, którejby ona dla Bolka nie poniosła (po chwili z gębokiem westchnieniem). Żeby tylko ta nasza ofiara nie była bezcelową... Trzeba jego znać!...

Kazimierz. To niech już wuj mnie zostawi.

Zarębski. Takiś pewny siebie jakbyś już kogo miał na widoku. Co? masz już kogo?

Kazimierz. Jakbym miał. (*Rysując palcem w powietrzu kształty kobiece*). Tylko, proszę, niech wuj nie zapomina, że lekarstwo poleczone zostało tylko Bolkowi, tylko Bolkowi.

Zarębski (*śmiejąc się*). Oj, ty, ty, łobuzie kochany! (*grozi mu palcem*).

(*Obydwaj się śmieją — kurtyna opada*).

KONIEC AKTU I-go.

A K T II-gi.

Ten sam pokój, co w pierwszym akcie. Po podniesieniu kurtyny Zarębska zajęta jest jakąś robótką, Kazimierz, paląc cygaro, czyta książkę.

Zofja (*wchodząc*). Zdaje mi się, proszę panią, że i w pokoju pana doktora należałoby również zmienić firanki.

Zarębska (*ze źle ukrywaną odrazą*). Upoważniłam panią przecież do samodzielnego rozporządzania się gospodarstwem — służba o tem wie.

Zofja (*hamując wściekłość*). Przepraszam — sądziłam, że po powrocie państwa z zagranicy pani zechce sama dysponować wszystkim.

Zarębska. Nie, i nadal gospodarstwo należy całkowicie do pani, a wobec tego proszę się do mnie po rady nie zwracać.

Zofja. Dobrze, proszę pani (*wychodzi*).

Kazimierz. Jeżeli ciocia ją tak traktować zamierza, to ręczę, że ona wkrótce podziękuje za tę miłą posadkę, a wówczas ja już nie chcę o niczem wiedzieć.

Zarębska (*przez łzy*). Czegóż wy jeszcze chcecie odemnie, co ja mam jeszcze zrobić? Czy nie dość, że

się zgodziłam na ten plan potworny i usunęłam się z domu na sześć tygodni. Gdybym była przeczuła, że ta męka tak długo trwać będzie — nigdybym się na to nie zgodziła. Ja się tu duszę...

Kazimierz. Ależ, moja ciociu, niechże ciocia będzie rozsądną. Ciocia tak mówi, jakby coś dla mnie i wuja zrobiła, a przecież ciocia to chyba pojmuje, że i dla nas ta sytuacja jest arcy-przykrą, a zwłaszcza dla mnie.

Zarębska. Przepraszam cię, Kaziu: już będę panowała nad sobą. Sądziłam jednak, że to tak długo trwać nie będzie.

Kazimierz (*wstaje, całuje rękę Zarębskiej*). No, tak, cioteczko. No, proszę się uspokoić. Ja cioteczkę doskonale pojmuje, ale mówię cioci, że inaczej—jeżeli ciocia dba o zdrowie Bolka, postąpić nie można. (*po chwili*) Niechże cioteczka idzie się przebrać, gdyż wuj za chwilę będzie gotów, a powóz już czeka.

Zarębska. Idę już (*do lokaja, który się ukazał we drzwiach*). Co Jan powie?

Jan. Idę do pana doktora zapytać, czy tapicer będzie mógł teraz w pokoju pana doktora założyć firanki.

Zarębska. A w salonie już skończył?

Jan. Już, proszę jaśnie pani.

Zarębska. Możesz pójść (*Jan wchodzi do pokoju na lewo, do Zofji, która w tej właśnie chwili wróciła do pokoju*). Ja z mężem będziemy herbatę pili na mieście, pani każe nakryć tylko dla pana Bolesława.

Zofja. Dobrze, proszę pani.

Bolesław (*wchodzi, za nim Jan*). Niech mi Jan przygotuje palto.

Jan. W tej chwili, panie doktorze (*wychodzi*).

Bolesław (*całuje matkę, serdecznie*). Jak się matuś miewa, no jak?

Zarębska. Dobrze, aniołku, dobrze (*całuje go*).

Bolesław (*podaje rękę Kazimierzowi*). Jak się masz? (*po chwili*). Czy nie uważasz, Kaziu, że mama od kilku tygodni mizernieje, że tym razem, po powrocie z wypoczynku, wygląda jeszcze gorzej, niż przed wyjazdem do Bellagio.

Kazimierz. Eh, nie, zdaje ci się.

Zarębska (*chcąc przerwać rozmowę*). Wychodzisz?

Bolesław. Tak, matuś, korzystam z tego, że... (*zwracając się do Zofji*). Proszę panią, niech pani będzie łaskawa i każe to zrobić, tylko jaknajprędzej (*do matki*). Panna Zofja zapytała mnie przez Jana czy można u mnie zmienić firanki,—otóż korzystam z tego, bo, jak mateczka wie, nie mogę pracować kiedy ktoś jest w pokoju — i wyjdę trochę; mam zresztą interes do księgarni, ale na herbatę wrócę (*całując matkę pieścizotliwie*), wrócę, mateczko.

Zarębska (*zatenowana*). Ale my dziś znów nie będziemy na herbie w domu, wyjeżdżamy.

Bolesław (*z uśmiechem*). Czy znów spacer?

Zarębska. Tak.

Bolesław (*zartobliwie*). Staruszkowie, jak widzę, rozbawili mi się na dobre — codziennie spacer, teatry, koncerty (*znów matkę całuje*). No, a jeśli jedynakowi smutno jest samemu pić herbatę.

Zarębska (*uradowana*). To ja zostanę, bardzo chętnie zostanę; przecież spacer można odłożyć na później.

Bolesław. Ależ nie, mateczko, ja tylko żartuję.

Kazimierz. Ciocia na spacer pojedzie, bo to z polecenia lekarza.

Bolesław (*zaniepokojony*). Mateczka się radziła lekarza, więc mateczka jest niezdrowa (*z wyrzutem*), a ja o tem nic nie wiem. Co to jest, mateczko, proszę mi powiedzieć.

Zarębska. Ależ nic, nic, kochanie — trochę jestem zdenerwowana i nic więcej (*widząc, że Bolesław jest jeszcze niespokojny*). Niech Kazio powie.

Kazimierz. A, tak, rzeczywiście lekkie zdenerwowanie i nic więcej. Zapewniam cię (*po chwili*). Wiesz, Bolek, przed chwilą obraziłeś obecną tu pannę Zofję.

Bolesław (*szczerze zdziwiony*). Ja?

Kazimierz. A ty; utrzymywałeś, że podwieczorki, choć rodzice już wrócili, od kilku dni znów sam jadasz, gdy tymczasem, o ile wiem, panna Zofja dotrzymuje ci towarzystwa.

Bolesław (*szczerze*). Przepraszam panią, panno, Zofjo, ale mam nadzieję, że pani to przecież zrozumiała, iż, mówiąc „sam“, myślałem, że bez rodziców.

Zofja. Ależ tak, naturalnie, panie doktorze.

Zarębski (*wchodząc*). Dobry wieczór, Kaziu.

Kazimierz. Dobry wieczór, wujku.

Zarębski (*do żony*). A możeby tak moja pani poszła się ubrać kapeńkę, bo ja wszystko już załatwiłem i jestem na jej rozkazy.

Zarębska. Idę już. Do widzenia, Bolciu (*całuje go w głowę*).

Bolesław (*całując ją*). Do widzenia, matusiu.

Zarębska. Ty jeszcze zostajesz, Kaziu?

Kazimierz. Tak, ciociu (*Zarębska wychodzi*).

Bolesław (*po chwili*). I ja także idę (*do Zofji*). Mam do pani, panno Zofjo, wielką prośbę.

Zofja. Słucham pana doktora.

Bolesław. Proszę, niech pani będzie obecną przy tej operacji tapicerskiej, bo widzi pani drzę o całość każdego świstka papieru. Takie notatki mogą łatwo zginąć. Dla innych to nie ma żadnej wartości, a to są moje kapitały.

Kazimierz. A możebyś zamknął do szuflady te kapitały.

Bolesław. Kiedy wszystkie mam przepelnione, a zresztą musiałbym przed schowaniem wszystko ugrupować, uporządkować.

Zofja. Niech pan doktor będzie zupełnie spokojny — dopilnuję tego.

Bolesław. Bardzo będę pani wdzięczny (*z uśmiechem*) a byłbym jeszcze wdzięczniejszy, gdyby mnie pani przestała tytułować — już parę razy o to prosiłem.

Zofja. Kiedy... (*udaje zawstydzoną*).

(*Podczas ostatniego słowa chłopiec tapicerski przy pomocy Jana wnosi drabinkę składaną do pokoju na lewo. Zofja wychodzi za nimi*).

Kazimierz. Jakże tam twoja praca?

Bolesław. Dziękuję ci, posuwa się naprzód, mam nadzieję, że za jakie sześć — siedem miesięcy skończę.

Czeladnik tapicerski. Dobry wieczór państwu.

Wszyscy. Dobry wieczór (*jeden tylko Bolestaw dodaie*) panu (*i wskazuje czeladnikowi drzwi*) to tutaj (*czeladnik wychodzi na lewo*).

Bolestaw. Do widzenia, ojczec.

Zarębski. Do widzenia.

Bolestaw. Bądź zdrów Kazik.

Kazimierz. Postaram się (*ściska mu rękę*).

(*Bolestaw wychodzi — po jego wyjściu panuje przez chwilę milczenie*). No i cóż?

Zarębski (*s westchnieniem*). A no nic... zdaje się (*po pauzie*). Myślę, że to wszystko napróżno. Tyś ją tak zachwalał, tak byłeś jej pewny, a okazuje się, że jest zupełnie do niczego; czasu miała chyba poddo-
statkiem!

Kazimierz. Już ja się z nią rozmówię.

(*Zarębski w milczeniu dziękuje mu uściśnieniem ręki. Chwila pauzy*).

Zarębska (*wchodząc, do męża*). Służę ci.

Zarębski. Jedziemy.

Zarębska. Jedziesz z nami, Kaziu?

Kazimierz. (*catując ją w rękę*). Nie, zostanę jeszcze chwilę... Poczta!... poczekam na pocztę. (*Zarębscy wychodzą. Kazimierz staje przed lustrem i poprawia sobie włosy i wąsy, potem robi parę ruchów gimnastycznych, a wreszcie bierze gazetę i siada, przeglądając ją*).

Jan (*ukazuje się we drzwiach*). Przepraszam jaśnie pana.

Kazimierz (*nie przestając czytać*). Co takiego?

Jan. Czy jaśnie państwo już pojechali.

Kazimierz (*j. w.*) Już. (*wstaje — podchodzi do lustra*).

(*Jan znika — po chwili wpada Zofja i bez słów rzuca się na szyję Kazimierzowi, ten jest najsupełniej obojętny — wyprowadza go jednak z równowagi niepokój o fryzurę, którą też wcięż poprawia*).

Kazimierz (*szeptem*). Ależ, moja kochana, może kto wejść przecież.

Zofja (*namiętnie*). Wszystko mi jedno — całuj!

Kazimierz (*całuje ją długo*). Dosyć?

Zofja (*namiętnie — dziko*). Jeszcze, jeszcze! (*całuje go*). Słuchaj, chodź tam do mnie; teraz nikogo niema.

Kazimierz (*wyswabadsając się z jej objęć*). Bądźże przecież rozsądną (*po chwili*). No i jakże ci tutaj?

Zofja. Bardzo dobrze — tylko ciotka twoja...

Kazimierz. Nie zważaj na to — ona jest trochę zdenerwowana. (*po chwili pausy*). A więc lepiej ci tutaj, niż u staruszcza.

Zofja. (*gniewnie*) Nie wspominaj mi go — proszę cię.

Kazimierz. A jakże mój braciszek... czy zawsze jeszcze święty?

Zofja (*z udaną rozpaczą*). Zawsze. (*Kazimierz wybucha śmiechem — Zofja również*).

Kazimierz (*poważnie*). I tobie nie wstyd przyznać się do tego! Wiesz, zaczynam tracić dla ciebie szacunek (*całuje ją*). Mając takie ślepie, takie nosiátko — nie módz sobie poradzić z jednym doktorem wszystkich ludzkich i nadludzkich praw. A fe! (*siada w bujającym fotelu*).

Zofja (*siada mu na kolana*). Ja go tak rzadko widuję, (*filuternie*) całymi dniami siedzi w książkach. Ale bądź o niego spokojny. Zosia mówi, że możesz być zupełnie spokojny. (*Po chwili*). Już go mam, już go mam. Powiadam ci, że to genialny pomysł!

Kazimierz. Już ja znam twoje genialne pomysły.

Zofja. Zapewniam cię, że ten jest znakomity.

Kazimierz. Żeby ci się tylko udało go przeprowadzić.

Zofja. Uda się, uda z pewnością.

Kazimierz. A jak nie?

Zofja. To wynajdę inny.

Kazimierz. To się, duszyczko luba, zbytnio prze-wleka.

Zofja (*po chwili*). A nie będziesz zazdrosny?

Kazimierz (*ziewając*). Ale cóż znowu.

Zofja (*w pasji*). Bo ty masz inne — prawda?

Kazimierz. Pewnie. A zresztą czy staruszek, czy Bolek...

Zofja (*wściekła*). Podły jesteś?

Kazimierz. Tylko bez literackich zwrotów, pro-szę cię (*po chwili*). Wiesz, śliczna jesteś dzisiaj.

Zofja (*przymilając się*). Czy tylko dzisiaj?

Kazimierz. Dzisiaj więcej niż kiedykolwiek.

Zofja. Podobam ci się, to... (*mówi mu coś do ucha*).

Kazimierz. No, nie, ale jutro między piątą a szóstą jestem wolny.

Zofja. Przyjdę do ciebie, przyjdę (*całuje go*).

Kazimierz (*śmiejąc się*). Wiesz, myślę sobie, że ten mój braciszek to idjota.

Zofja. Ma się rozumieć — ale poczekaj, już on zmańdrzeje, zobaczysz.

Kazimierz. A mnie się zdaje, że on cię straszliwie skompromituje, że pozostanie nieczułym.

Zofja. Może się załóżysz?

Kazimierz (*podając jej rękę*). Jazda.

Zofja. A o co?

Kazimierz. O kopę całusów, ale stawkę trzeba u mnie złożyć w depozycie.

Zofja. Masz (*zaczyna go całować*).

Kazimierz (*prędko*). Idzie ktoś (*Zofja sryta się i idzie do kredensu, udaje że coś robi*).

Zofja (*do chłopca tapicerskiego, który wchodzi, niosąc drabinę*). Czy już?

Chłopiec. Już, proszę pani.

Kazimierz. A ta Bellincioni jest, proszę pani, zawsze czarująca.

Czeladnik tapicerski (*wchodzi z młotkiem i obcężkami w ręku*). Moje uszanowanie państwu.

Zofja. Do widzenia — proszę przysłać rachunek.

Czeladnik tapicerski. Dobrze, proszę pani (*wychodzi*).

Zofja (*do Jana, który wszedł razem z czeladnikiem tapicerskim*). Jan nakryje do herbaty.

Jan. Ile nakryć, proszę pani?

Zofja. Dwa.

Jan. W tej chwili, proszę pani (*wychodzi*).

Kazimierz. Wiesz, idę już, on może zaraz nadejść, a nie chciałbym, żeby wiedział, żeśmy byli razem (*całuje ją*). Życzę ci tedy powodzenia, a nie zapomnij o jutrze.

Zofja. Tak, po piątej (*Kazimierz wychodzi—Jan wszedł już i nakrywa do stołu*).

Czy tam aby nie zrobiono nieporządku na biurku pana doktora?

Jan. Nie, proszę panienki, pilnowałem tego.

Zofja. To dobrze (*nagle jakby sobie coś przypomniała*). Sprawdzę to (*wychodzi do pokoju na lewo i po chwili wraca strasznie zagniewana*). Ślicznie Jan pilnował, kiedy ktoś wylał atrament na notatki pana doktora.

Jan. Ależ nie, proszę panienki: przecież cały czas stałem przy biurku i mogę panienkę zapewnić, mogę przysiąc nawet.

Zofja. Przecież w tej chwili widziałam. Jan może myśli, że zaniewidziałam.

Jan. Przecież, proszę panienki, przecież cały czas...

Zofja (*gniewnie*). To niech Jan idzie i zobaczy (*Jan wychodzi na lewo. Zofja ogląda sobie ręce i wyciera je w pośpiechu o spódniczkę i buciki. Jan wraca*). No i co?

Jan (*nawpół ze smutkiem i zdziwieniem*). Prawda.

Zofja. No, chwała Bogu. A teraz niech Jan weźmie ściereczkę i to uporządkuje. (*Jan wychodzi, po chwili wraca ze ściereczką w ręce i wchodzi do pokoju na lewo. Zofja wyjmuje z kredensu herbatniki, kon-*

fitury, następnie dużą blaszaną puszkę i wysypuje z niej cukier do cukierniczki).

Jan (*wrócił z pokoju Bolesława — mówi jakby do samego siebie*). Nie rozumiem jak to się stało, przecież cały czas, mógłbym na to przysiądz..

Zofja (*zła*). Głupstwa Jan plecie. Po wyjściu tapicera nikt, prócz mnie, w pokoju pana doktora nie był, a ja atramentu nie wylałam.

Jan. Przepraszam panienkę — ale doprawdy...

Zofja. Dosyć o tem. Proszę się spytać Franciszkowej dlaczego nie przysłała śmietanki do herbaty.

Jan. W tej chwili przyniosę (*wychodzi*).

Zofja (*przez czas jego nieobecności studjuje swoją twarz w lustrze — z rezultatu tych studjów jest snać zadowolona, bo uśmiecha się do siebie kilkakrotnie*).

Jan (*wchodząc*). Jest i śmietanka (*stawia dzbaneczek na stół*). Czy już nic więcej nie trzeba?

Zofja (*oglądając stół*). Nie, nic już — może Jan odejść (*Jan wychodzi — ona znów przegląda się w lustrze. Słysząc kroki. Zofja bierze gazetę i, pozując się jaknajponętniej, siada przy stole, udając, że jest straszliwie zajęta lekturą. Chwila pauzy*).

Bolesław (*wchodzi, trzymając w ręce dwie dość spore książki*). Dobry wieczór pani.

Zofja. Dobry wieczór panu doktorowi.

Bolesław. Proszę pani, czy ta firanka, czy też portjery już zawieszono?

Zofja. Już panie doktorze (*widząc, że Bolesław zmierza do swego pokoju*). Czy pan doktor nie napije się teraz herbaty?

Bolesław. Jeśli już można (*wraca do stołu, wskazu-
jąc krzesło*). Pozwoli pani?

Zofja. Ależ, proszę bardzo (*dzwoni*).

Bolesław (*siadając*). Przepraszam, ale nim poda-
dzą, przepraszam panią bardzo, zaciekawia mnie tu je-
dna kwestja, tylko chwilkę (*bierze nóż i rozcina jedną
z książek, a potem przegląda*).

Zofja. Niech pan doktor mną wcale się nie krę-
puje (*do Jana, który ukazał się we drzwiach*). Proszę
podać herbatę (*Jan wychodzi i po chwili wnosi samo-
war, Zofja nalewa herbatę*). Czy pan doktor ze śmietanką?

Bolesław. Owszem, poproszę (*podaje jej cukier*).
Służę pani.

Zofja. Dziękuję bardzo (*stodzi sobie herbatę*).
Czy nasmarować panu doktorowi bułeczkę? (*Daje znak
Janowi żeby wyszedł— Jan wychodzi*).

Bolesław. Jeżeli pani chce być tak uprzejmą.

Zofja (*po nasmarowaniu bułeczki*). Służę panu
doktorowi.

Bolesław. Dziękuję pani (*jedzą w milczeniu*).

Zofja. Może konfitur?

Bolesław. Nie, dziękuję (*jedzą znów w milczeniu*,
Bolesław wciąż rozcina i przegląda jedną z książek).

Zofja. Pan Kazimierz tak się zachwycał Bellin-
cioni. Czy i pan doktor ją tak lubi?

Bolesław. Owszem.

Zofja. A czy pan doktor słyszał ją w Salome?

Bolesław. Nie, nie słyszałem.

Zofja. A to niech pan doktor żałuje, bo jest nad-
zwyczajna. A jak tańczy...

Bolesław. Tak?

Zofja (*po chwili*). Jaka dziś pogoda na dworze?

Bolesław. Ładna.

(*Zofja daje za wygraną i Bolesław już w spokoju i milczeniu pije herbatę i przegląda książkę*).

Bolesław (*po wypiciu herbaty wstaje i kłania się Zofji*). Dziękuję.

Zofja. Nawzajem. (*Bolesław wychodzi — Zofja zaciera ręce i ma taki wyraz twarzy jakby chciała powiedzieć: Teraz to się już nie wywiniesz*).

Bolesław (*po dłuższej pauzie wraca, bardzo zirytowany, prawie z krzykiem*). Przecież panią prosiłem!

Zofja (*niby bardzo przestraszona, jękając się*). Przepraszam pana doktora... ale ten chłopiec od tapicera jakoś tak nieszczęśliwie... poruszył stołem... że kałamarnicz (*wybucha płaczem i chce wyjść na prawo*).

Bolesław (*już spokojny*). Ależ, panno Zofjo. Przepraszam panią, najmocniej panią przepraszam, proszę mi wierzyć, że jej nie chciałem obrazić. Wyznaję, że niesłusznie podniosłem głos, ale widzi pani te notatki... No niechże się pani uspokoi, niech pani nie płacze.

Zofja (*wciąż płacze*). Ja nie dlatego płaczę, że pan na mnie krzyknął, bo do tego... bo na mnie już od dziesięciu lat ciągle krzyczą, ale mnie to boli, że taki człowiek jak pan... także... (*wycierając oczy*). Przepraszam pana doktora... Jakie to głupie.

Bolesław (*szczerze*). Najmocniej, najserdeczniej panią przepraszam i daję pani słowo, że nie miałem najmniejszej nawet chęci obrażenia pani. Wierzy mi pani?

Zofja. Wierzę (*ociera łzy*).

Bolesław. I nie gniewa się pani na mnie?

Zofja. Jabym się miała na pana doktora gniewać?

Bolesław. No, to dobrze, to bardzo dobrze (*zmierzając ku swemu pokojowi*). A co do tych notatek, niech się pani nie martwi, jakoś sobie poradzę, albo przepiszę, albo przypomnę, zajmie mi to może ze dwa dni czasu, ale to przecież głupstwo.

Zofja. Jaki pan dobry, jaki pan szlachetny!...

Bolesław (*zażenowany*). Ale cóż znowu, cóż znowu...

Zofja. Pan jest taki inny od tych wszystkich ludzi, których widziałam dotąd, a raczej pan jest pierwszym człowiekiem między tymi wszystkimi. Od dziesięciu lat — miałam zaledwie piętnaście lat, gdy mnie matka odumarła i zaczęłam u obcych ludzi na chleb pracować — od dziesięciu lat ludzie, od których byłam zależną, traktowali mnie jak psa.

Bolesław (*ze szczerem współczuciem*). Biedne dziecko.

Zofja (*robi strasznie wzruszoną minę, chwytą Bolesława za rękę i całuje ją*). Bóg zapłać panu!...

Bolesław (*bardzo zmieszany, cofając rękę*). Ależ, panno Zofjo, co pani robi.

Zofja (*ze łzami wzruszenia w oczach*). Dziękuję panu za to, że pan pierwszy przemówił do mnie, jak do człowieka, że pan pierwszy, choć nas dzieli przepaść umysłowa i społeczna, przemówił do mnie, jak do równego sobie człowieka, dziękuję panu za tę dobroć, za serce, które mi pan przed chwilą okazał. Takie po-

stępowanie ze mną to dla mnie takie niezwykle, takie nowe... (*siada, a raczej pada na krzesło i wybucha strasznie serdecznym płaczem*).

Bolesław (*szczerze wzruszony*). Niechże się pani uspokoi, proszę bardzo.

Zofja (*wciąż popłakując*). Pan nie wie, co to jest żyć przez dziesięć lat pośród obcych, być przez dziesięć lat poniewieraną, upokarzaną (*płacz przechodzi w łkanie*).

Bolesław (*szczerze, serdecznie*). No, proszę się uspokoić, no cicho, cicho (*głaszcze ją po głowie, tak jak się głaszcze małe rozplakane dziecko — ona się nie uspakaja*). No, proszę już nie płakać, no, dosyć (*jest serdecznie wzruszony jej łzami, cierpienie jej zbliża go ku niej, zdaje mu się, że mówi do swej młodej siostrzyczki*) no, proszę (*nachyla się ku niej i nagle widocznie pod wpływem zapachu jej włosów, bliskości młodego kobiecego ciała, a może przez litość tylko, całuje ją w głowę*).

Zofja (*otwiera nań swe zapłakane oczy, a potem przyciska swą głowę mocno do jego ramienia i płacze*).

KONIEC AKTU II-go.

A K T III-ci.

Przy małym stoliku do kart, państwo Zarębscy w pogodnym nastroju ducha grają w karty, przekomarzając się, od czasu do czasu, między sobą.

Zarębska. Jeśli, mój drogi, za każdym razem dasz tak obrzydliwe karty, to oczywiście wygrasz.

Zarębski. Moja Stasiu, ja ani sobie, ani tobie kart nie wybieram. Zresztą to wszystko jedno, bo widzisz, kochanie, w karty trzeba umieć grać.

Zarębska. Nie urągaj, nie urągaj; jeszcześ partji nie wygrał, jeszcze nie wiadomo... (*słychać pukanie*). Proszę!

Zarębski (*głośno*). Proszę!

Zarębska (*do wchodzącej kucharki Franciszkowej*)
Co Franciszkowa powie?

Franciszkowa (*nieśmiało*). Chciałam wielmożnej pani parę słów...

Zarębska. Możecie to chyba powiedzieć i przy panu.

Franciszkowa. Tak, proszę pani.

Zarębska. Więc mówcie — słucham.

Franiszkowa (*uroczyście*). Przyszłam pani podziękować za miejsce.

Zarębska. A to znowu dlaczego?

Zarębski. Co się stało?

Zarębska. Może wam idzie o podwyżkę pensji, to wam podwyższę o rubla, bo myśmy z was bardzo zadowoleni.

Franciszkowa (*całując Zarębską w rękę*). Dziękuję wielmożnej pani za tego rubla — przyda się, oj, przyda — i za dobre słowo dziękuję, ale choć mi się nie chce, bo i ja z państwa i z miejsca bardzo jestem zadowolona, odejść chyba będę musiała.

Zarębska (*nieco obrażona*). Gwałtem was tu nikt zatrzymywać nie będzie, bo choć, prawdę powiedziawszy, dobrze gotujecie, to przecież takich kucharek, jak wy, jest jeszcze dosyć. Pragnę jednak wiedzieć co się stało.

Zarębski (*powstrzymując śmiech*). A może Franciszkowa się zamąż wydaje, co?

Franciszkowa (*wznosząc pobożnie oczy*). Niech mnie Bóg strzeże; już dosyć tej szczęśliwości zażyłam z nieboszczykiem.

Zarębska. No, więc co?

Franciszkowa. Ja tam takich rzeczy nie zwyczajna, żeby mężczyzny przychodziły do kuchni i siedziały do późnej nocy.

Zarębski. A do kogo te mężczyzny przychodzą i ilu?

Franciszkowa. E, proszę pana, tylko jeden i do kogoby, jak nie do Magdzi.

Zarębski (*drwiąc*). To chyba narzeczony.

Franciszkowa. Żeby to, proszę wielmożnego pana, był narzeczony, żeby to dali, jak należy, na zapowiedzi, to jabym tam nic nie mówiła. Ale tak—obraza Boska.

Zarębska. To Magdzia ma kawalera—nic o tem nie wiedziałam. Taka młoda dziewczyna (*po chwili*). A dawno już przychodzi?

Franciszkowa. Już czwarty tydzień, proszę pani. Ja przez nich wyspać się nie mogę. Ano tak, mogłabym se pójść spać do pokoju służbowego, ale zostawić ich samych, to znów obraza Boska i sumienie by mnie gryzło, że im do złego pomagałam.

Zarębski (*kpiąc*). Skoro ich znów Franciszkowa pilnuje, to chyba na żadną obrazę Boską przy was sobie nie pozwalają.

Franciszkowa. Z początku to się jeszcze krępowali, ale teraz... (*z niechętnym oburzeniem*) Onegdaj to przy mnie...

Zarębski (*zaciekawiony*). Co, co?

Franciszkowa (*zalamując ręce i przewracając oczami*). Posadził ją sobie na kolana... (*po chwili*). Mówiłam jej, żeby poszła do spowiedzi.

Zarębska. Już ja się z nią rozmówię, i albo to się zmieni, albo ją odprawię, a wy możecie zostać.

Franciszkowa. Kiedy tak, to ma się wiedzieć zostają, bo gdziebym lepszych państwa znalazła. A za podwyżkę dziękuję (*całuje Zarębskich w ręce*).

Zarębski. Więc powiadacie, że ten drab siedzi w kuchni do późnej nocy?

Franciszkowa. Do dwunastej — pierwszej, proszę pana.

Zarębska. Możecie już pójść i przyslijcie mi Magdzię.

Franciszkowa. Jabym prosiła, żeby wielmożna pani sama na nią zadzwoniła, bo jakby się dowiedzieli, że to odemnie wyszło, to...

Zarębska. Dobrze, dobrze (*Franciszkowa wychodzi*). Taka młoda dziewczyna, wygląda to jeszcze jak dziecko, nie dawno przyjechała do Warszawy, a już sobie znalazła...

Zarębski. Miała widocznie wrodzone zdolności w tym kierunku.

Zarębska. Ty bo zawsze kpisz ze wszystkiego.

Zarębski. Wcale nie kpię; djabli go tam wiedzą czy to nie złodziej albo jeszcze coś gorszego. Musisz się z nią rozmówić.

Zarębska. Zaraz to zrobię (*dzwoni dwa razy*).

Magdzia (*ukazując się we drzwiach*). Czy pani na mnie dzwoniła?

Zarębska. Tak. Moja droga, chodź no tu bliżej — słyszałam, że tu do ciebie przychodzi jakiś mężczyzna.

Magdzia (*całując z niewinna minką Zarębską w rękę*). Tak, proszę pani, to mój brat cioteczny.

Zarębski. Aha. Brat cioteczny. Ano jak brat cioteczny, to co innego. Tylko, moja droga, stosunki rodzinne między wami są zanadto serdeczne; słyszałem, że ten twój brat cioteczny bierze cię na kolana.

Magdzia. To z przyzwyczajenia, proszę pana.

Zarębski. Z przyzwyczajenia??

Magdzia. A tak, proszę pana, bo on jest o jakie dziesięć lat odemnie starszy, i na wsi, jakieśmy dziećmi byli, to on mnie ciągle niańczył i teraz z przyzwyczajenia się zapomniał.

Zarębski. To mu powiedz, żeby się odzwyczyił.

Zarębska. Laissez cela. Kuzyn nie kuzyn—wszystko mi jedno, dość, że ja u mnie w domu takich bececeństw nie znoszę.

Magdzia (*ptacząc*). Kiedy, proszę pani...

Zarębska. Dosyć. Teraz wiesz już, że albo się do tego zastosujesz, albo możesz sobie od pierwszego szukać innego miejsca.

Magdzia (*popłakując*). Za kogo mnie państwo biorą — ja jestem porządna dziewczyna.

Zarębska. Ja cię też za taką chcę uważać. Kiedy cię godziłam, pytałam czy masz narzeczonego, tak czy nie?

Magdzia (*cicho*). Tak.

Zarębska. No i coś mi powiedziała?

Magdzia (*szlochając*). Że nie mam i, jak Bozie kocham — wtedy jeszcze nie miałam...

Zarębski (*przerywając*). Ciotecznego brata...

Magdzia (*kończąc zdanie*). Ja z nim dopiero chodzę od paru tygodni.

Zarębski. Więc to już nie brat cioteczny, tylko narzeczonego...

Magdzia (*popłakując*). Tak, narzeczonego, jak Bozie kocham, narzeczonego i ożeni się ze mną—przysięgał (*jąkając się*). Skłamałam, że to brat cioteczny, bo się wstydziłam...

Zarębski. Nam to jest obojętne. Możesz odejść.

Zarębska (*do Magdzi*). Czekaj. No, cicho, moje dziecko, nie płacz. Więc powiadasz, że to narzeczony i że się z tobą ożeni?

Magdzia. Tak, proszę pani. Tak przysięgał..

Zarębska. Więc dobrze — wierzę ci... zostajesz u mnie i ten twój... narzeczony może przychodzić. Powiedz mu, że państwo wiedzą o tem i pamiętaj tylko, moje dziecko, żeś młoda i niedoświadczona i że nie wszystkim przysięgom wierzyć można.

Zarębski. I, że dłużej niż do dziesiątej nie wolno mu tu siedzieć.

Magdzia (*całując ręce Zarębskiej*). Dziękuję, dziękuję pani.

Zarębska. I po co to było kłamać...

Magdzia. Bo mi wstyd było i bałam się, żeby sobie państwo o mnie nie pomyśleli...

Zarębska. No, dobrze już. A pamiętaj, nie kłam więcej. (*Magdzia wychodzi*).

Zarębski. A tobie znów co się stało—skąd znów ta tolerancja filozoficzna? Gdzie twoje niewzruszone zasady? Dziewczyna nic nie warta, lże jak z nut, lepiej żeby sobie poszła.

Zarębska. To prawda, Adasiu. Przypomniałam sobie jednak, że my teraz nie mamy prawa sądzić i potępiać, że my... (*ociera łzy chusteczką*). Wyście do tego doprowadzili, że ja teraz muszę już znosić takie rzeczy w swoim domu.

Zarębski. Dałabyś już raz pokój tym głupim sentymentom i jeszcze głępszym porównaniom. Cieszyć się powinnaś, że Bolek odzyskał zdrowie, humor, młodość.

Zarębska (*przez łzy*). Ja się też cieszę, cieszę, Adasiu, zdaje mi się tylko, że my nie mamy prawa sądzić innych.

Zarębski. Aha, dosiadłaś już swego ulubionego konika. Wróćmy lepiej do kart.

Zarębska. Dobrze.

Zarębski (*tasując karty*). Do gospodarstwa nigdy ci się nie wtrącałem i wtrącać nie będę, ale, mojem zdaniem, należy tę dziewczynę wyrzucić i to jaknajprędzej.

Zarębska. No, powiedz sam, mój kochany...

Zarębski (*zmieniając temat rozmowy*). Ty dajesz karty.

Kazimierz (*wchodząc*). Dobry wieczór.

Zarębska. Dobry wieczór.

Zarębski. Jak się masz?

Kazimierz. Oho, jak widzę, szulernia w ruchu (*zbliża się ku stolikowi*). Wobec tego żeście niedawno tę partję zaczęli, proponuję umorzenie sprawy, czy zgoda?

Zarębska. Zgoda.

Zarębski. I ja się zgadzam, żeby mej pani zrobić przyjemność, bo tę partję wygrałbym z pewnością.

Kazimierz. Bolek u siebie?

Zarębski. Wyszli z panną Zofją na spacer.

Zarębska. I to już dziś po raz drugi; rano zdaje się byli w Łazienkach.

Zarębski. Swoją drogą byłoby dobrze, żeby się mniej z nią afiszował na mieście.

Kazimierz. To nic nie szkodzi; nie znają jej — widzi wuj, jeszcze nie notowana na giełdzie.

Zarębska (*zdenerwowana*). Sądzę, że już wogóle czas położyć temu kres.

Kazimierz. Ano teraz to już można. Ona sobie oczywiście każe porządnie zapłacić za wymówienie miejsca.

Zarębska. Niech bierze ile chce, byleby tylko jak najprędzej się stąd wyniosła.

Kazimierz. Można powiedzieć, że ciocia się już zupełnie dobrze czuje i nudzi bez zajęcia.

Zarębski (*do żony*). Tylko, proszę cię, zrób to jaknajciszej — najdelikatniej.

Kazimierz. I ja tak radzę, zwłaszcza, iż ona doskonale wie, że ciocia wprost na nią patrzeć nie może; swej nienawiści i wzdargy ciocia nigdy ukryć nie chciała.

Zarębski. Wiesz, ja niekiedy, patrząc na zmianę, jaka zaszła w Bolku, z prostej wdzięczności i oczywiście przez zapomnienie przemówiłem do niej życzliwie, a wtedy ciotka twoja rzucała tak zabójcze spojrzenia, że...

Kazimierz. To tylko dlatego, iż ciocia uważa, że wuj jest do tego stopnia zdrów, iż na lekarstwo nawet patrzeć nie potrzebuje. Prawda, ciociu?

Zarębska (*dając Kazimierzowi klapsa*). Przestań, ty łobuzie szkaradny.

Zarębski (*śmiejąc się głośno*). A to łajdak! to łajdak!

Kazimierz. Niech mi wuj podziękuje za komplement.

Zarębska (*cicho*). Jaby m wolala, ze bys ty, Kaziu, sie z nia rozmowil.

Kazimierz. Nie, ciociu, ze wzgledu na Bolka lepiej zeby ciocia sama to uczynila.

Zarębski. On ma racje: trzeba to jakoś upozorować. A ja myślałem, że ty, moja kochana, nie dasz sobie odebrać tej satysfakcji wyrzucenia jej z domu.

Zarębska. Więc dobrze — załatwię to i to dziś jeszcze.

Zarębski. Nie ma znów potrzeby tak zbytnio się spieszyć; na dniu — dwóch chyba ci nie zależy, skoro kwestja jest zasadniczo zdecydowana (*po chwili*). Ciekaw jestem, jak Bolek przyjmie tę wiadomość.

Kazimierz. Że dlań przyjemną nie będzie — rzecz. Ale o niego martwić się nie należy; już ona go tak prędko nie puści, trzeba jej tylko szepnąć o pieniądzech, a już ona potrafi go nakłonić, aby dla niej wynajął i urządził miłe i zaciszne mieszkaneczko, w którym jednak on nie będzie jedynym gościem.

Zarębska. Jacy wy wszysej brudni...

Kazimierz. Moja ciociu, świat wlaźł w swoją normę i ciocia go z niej nie wyprowadzi.

Zarębska. Już się z tem, niestety, najzupełniej pogodzić musiałam. Zresztą idzie mi już tylko o jak najrychlejsze wymiecenie własnego mieszkania (*po chwili*). Ile ci jeszcze zostało egzaminów, Kaziu?

Kazimierz. Jeszcze trzy, ale to głupstwo; najtrudniejsze mam już po za sobą.

Zarębska. No, to chwała Bogu!

Zarębski. A możebyśmy wobec tego zagrali partijkę, co?

Kazimierz. Owszem. Ciocia gra?

Zarębska. Dobrze.

Kazimierz (*rzucając karty*). Wuj daje a ja jestem na rękę (*Zarębski rozdaje karty*). Pik!

Zarębska. Pas.

Zarębski. Tref.

Kazimierz. Pas.

Zarębski. Siedm tref.

(*Kazimierz i Zarębska wistują, gra się rozpoczyna i trwa przez chwilę w milczeniu*).

Zofja (*wchodzi, trzymając w ręce olbrzymi bukiet konwalji*). Dobry wieczór państwu!

Wszyscy. Dobry wieczór.

Bolesław (*wchodzi*). Nie, to wstyd doprawdy, żeby teraz grać w karty.

Zarębski. Tylko cośmy zaczęli.

Bolesław. Na dworze jest tak cudnie; ilekroć jestem teraz w Łazienkach lub w parku zdaje mi się, że jestem świadkiem narodzin wiosny; widzę jak z pąków wyrwywają się kwiaty ku słońcu, jak liście rozwijają się, rosna...

Kazimierz. Patrzcie państwo, stał się cud: mól książkowy przedzierzgnął się w poetę, może nawet wkrótce zacznie wiersze pisać.

Bolesław. Zmieniła mnie (*patrząc na Zofję*) ta cudotwórczyni... wiosna.

Kazimierz. Przecież to nie pierwsza wiosna; widziałeś ich już wiele, a nigdyś tak nie poetyzował.

Bolesław. To dziwne, ale mnie się zdaje, że to pierwsza wiosna, której się przyglądam tak blisko, którą nietylko, że czuję, ale i rozumiem. Zresztą takie wybryki uwagi są nawet notowane: ja sam i każdy z nas mógł je doświadczyć na samym sobie. Ja na przykład, kiedyśmy mieszkali we własnym domu przy ulicy Złotej, dopiero po jakimś roku spostrzegłem na rogu Zielnej ten dom z bocianem, wiesz który, a przecież przechodziłem tam najmniej dwa razy dziennie. To bardzo ciekawe, nieprawdaż?

Zofja. Panie Bolesławie, rozdzieliłam konwalję na dwie części i proszę niech pan jedną z nich zabierze do siebie.

Bolesław. Widzę, że pani koniecznie chce abym się w piekle poniewierał, ale mnie tam wcale nie pilno i — wobec tego — dziękuję najserdeczniej za ten iście chrześcijański podział i... nie biorę.

Kazimierz. Wyście chyba dziś wszystkim konwalję wykupili.

Zofja (*podając bukiet Zarebskiej*). Może pani pozwoli — pani tak lubi kwiaty.

Zarebska (*szorstko*). Dziękuję uprzejmie, sądzę jednak, że skoro kwiaty zostały pani ofiarowane, nie powinna ich pani oddawać.

Bolesław. Ależ, matuś, jak można (*patrząc na Zofję rozkochanemi oczami*) odpychać od siebie takie

śliczne, takie białe kwiaty (*bierze od Zofji bukiet i daje go matce. Zofja wychodzi*).

Zarębska. Dziękuję ci (*kładzie karty na stoliku do kart*).

Kazimierz. Ciociu! mezaljans!

Zarębska. Co takiego?

Kazimierz. Karty z kwiatami, to tak samo nie pasuje do siebie, jak naprzykład rozsądek i poezja.

Bolesław. Ja zaś uważam, że szczytem nierozsądku jest być rozsądnym wiosną, wy jednak — radzę wam szczerze — bądźcie choć przez chwilę rozsądni, rzućcie te obrzydliwe karty, zabierzcie Kazia i jedźcie poetyzować i kraść woń bżom i wierzbom.

Zarębski. Myśmy już na poezję, niestety, za starzy.

Bolesław. Wiosna, tak jak Nietzsche, dokonywa zamiany wszelkich wartości: młodości daje dojrzałość, a starości młodość zwraca. Ale doprawdy, całkiem serio mówię, że grzechem jest nie korzystać z tej przepięknej pogody.

Jan (*wchodząc*). Proszę pana doktora, przynieśli książki z księgarni.

Bolesław. Niech Jan pokwituje.

Jan. Dobrze panie doktorze. A książki, gdzie położyć?

Bolesław. Proszę, niech je Jan tymczasem gdzieś schowa, może w gabinecie ojca; u mnie w pokoju i tak jest dość ciasno.

Jan. Dobrze, panie doktorze (*wychodzi*).

Kazimierz (*filuternie*). Jak tam twoja praca, Bolku?

Bolesław. Posuwa się naprzód, ale mocno zółwim krokiem; widzisz, chłopie, urządziłem sobie wakacje i, doprawdy, należały mi się słusznie.

Kazimierz. Ma się rozumieć, ma się rozumieć.

Bolesław. Trzeba jednak będzie za jakiś tydzień— dwa zabrać się znów do roboty. No i co, nie jedziecie?

Zarębski. Pojedziemy chyba.

Bolesław. Polecam wam Łazienki. Byłem tam dziś wczesnym rankiem; nie masz pojęcia, Kaziu, jakie były prześliczne — zupełnie inne niż zwykle. Ty, śpiochu, jeszcze chyba nie widział nigdy młodej wiosny, skąpanej w blasku tylko co zbudzonego słońca.

Kazimierz. Zapewniam cię, Bolku, że mnie zgoła fałszywie sądzisz: w zeszłym tygodniu miałem najszczerzy zamiar wstać o wschodzie słońca i pojechać gdzieś za miasto rokoszować się wiosną, zielenią, ale cóż, kiedy zbyt długo w noc składałem hołdy jednej mej znajomej również młodej i uroczej wiosnie, i nad ranem... okropnie mi się spać chciało.

Bolesław (*klepiąc go po przyjacielsku po ramieniu*). Już czas żebyś spoważniał, ty trzpiocie niepoprawny. No, kończcie te karty, a ja na chwilkę idę do siebie (*wychodzi*).

Kazimierz. Czyście nie zauważyli, że on się chce nas wszystkich pozbyć z domu.

Zarębski (*wesoło*). Najwyraźniej w świecie. Inny człowiek — całkiem inny człowiek, a choć wiem (*zwracając się do żony*), że ci to, Stasiu, przykrość sprawi, wyznaję, żem z tej zmiany najzupełniej zadowolony; dawniej wyglądał, jak człowiek, który przebył ciężką

chorobę, a teraz toć to kwitnące zdrowie (*zacierą ręce*), kwitnące zdrowie.

Zarębska. I ja się cieszę, że przynajmniej moje łyzy i noce bezsenne nie poszły na marne.

Zarębski (*uroczyście*). Doktorowi Wolskiemu winiśmy dozgonną wdzięczność.

Kazimierz. Słusznie, sprawiedliwość każe jednak przyznać, że i medykamentowi także.

Zarębski (*całkiem poważnie*). Masz rację, to też staram się dla panny Zofji być najgrzeczniejszym, bo ostatecznie oboje: ona i doktor Wolski oddali nam jednakowo ważną przysługę (*zwracając się do Kazimierza z rozrzewnieniem*). Ale i tobie, mój chłopcze, nigdy tego nie zapomnę (*całuje go serdecznie i ściska mu ręce*), bo jeśli już nie mamy potrzeby trapić się zdrowiem Bolka, to przede wszystkim twoja (*majestatycznie*), tak jest twoja zasługa (*ściska mu ręce*).

Kazimierz (*z miną zawstydzonej pensjonarki*). Wuj mię doprawdy zawstydzą — to taka drobnostka...

Zarębska (*chcąc przerwać niemiłą jej scenę*). Proszę was, czy my wreszcie skończymy tę nieszczęsną partję, czy nie?

Zarębski. A ma się rozumieć (*siada do stolika*).

Bolesław (*wchodząc*). Co? Wy jeszcze nie na spacerze?

Zarębski. Pojedziemy dopiero za kwadransik.

Bolesław. Panny Zofji tu niema?

Kazimierz. A niema (*nuci*).

Bolesław (*przechodzi przez scenę i woła do drzwi po prawej*). Panno Zofjo.

Zofja (*wchodząc*). Co, panie Bolesławie?

Bolesław. Czy to za karę, żeśmy za długo byli na spacerze, nie dostaję dziś herbaty?

Zofja (*dzwoniąc*). W tej chwili każę panu podać.

Bolesław. A pani pić nie będzie?

Zofja. I owszem: i ja się napiję.

Bolesław. Przecież jak mruki przy herbacie siedzieć nie będziemy — mówiąc zaś, będziemy przeszkadzali karciarzom.

Zofja. A to trzeba będzie cicho siedzieć..

Bolesław (*miętko*). Albo mówić szeptem.

Jan (*wchodząc*). Jestem.

Zofja. Jan poda herbatę dla pana doktora i dla mnie.

Jan. Dobrze, proszę panienki.

Bolesław (*do Jana, zmiierzającego ku drzwiom*)

Niech Jan jeszcze zaczeka (*do Zofji*). Mam doskonały pomysł, panno Zofjo: niech pani każę podać herbatę na balkon.

Zofja (*do Jana*). Jan poda herbatę wprost przez salon na balkon.

Jan. Dobrze, proszę panienki (*wychodzi*).

Bolesław. Więc idziemy.

Zofja. Służę panu.

Bolesław (*przepuszczając Zofję*). Pani będzie ła-skawa (*wychodząc*).

Zarębska. Nie, z tem trzeba już bezwarunkowo skończyć.

Zarębski. A tak, tego już trochę zawiele.

Kazimierz. A no, cóż chcecie, moi drodzy: nic w naturze nie ginie, a Bolek sporo w niej czasu zgubił, więc go teraz odnaleźć musi.

Zarębska. Ja ani chwili dłużej tego znosić nie myślę.

Zarębski. Dobrze, dobrze, tylko nie gorączkuj się; powiedziałem, że jeśli chcesz—możesz ją odprawić.

Jan (*wnosząc bilet wizytowy*). Jakiś pan do pana doktora.

Zarębski (*do Jana*). Zanieś młodemu panu na balkon.

Kazimierz (*odbierając Janowi bilet wizytowy*). Jan poprosi tego pana do gabinetu (*Jan wychodzi, Kazimierz idzie pode drzwi salonu i woła*). Bolku, Bolku!

Bolesław (*z za sceny*). Co się stało?

Kazimierz. Przyszedł do ciebie profesor Krypski.

Bolesław (*skrzywiony*). A bodaj go...

Kazimierz. Takiś niezadowolony z tej wizyty, a mówiłeś mi, że niezmiernie lubisz Krypskiego i cenisz go nader wysoko jako uczonego.

Bolesław. To prawda, ale, widzisz, takim spragniony tej herbaty, a on będzie długo siedział; przyszedł mi przeczytać jeden rozdział swojej nowej pracy.

Zarębska. Przyślę ci herbatę do gabinetu.

Bolesław. Dziękuję mateczce (*wychodzi*).

Kazimierz. (*uroczyście*) Ręczę cioci, że tam ta herbata będzie mniej smaczna.

Zarębska (*nerwowo*). Rzućmy już te karty — trzeba rzeczywiście wyjechać trochę na powietrze, przed-

tem jednak zostawcie mnie tu samą; chcę z nią tę sprawę załatwić bezzwłocznie.

Zarębski. Dobrze, tylko proszę cię..

Zarębska (*nerwowo*). Nie drzyj tak: krzywdy jej nie zrobię. A teraz wyjdźcie (*Zarębski i Kazimierz wychodzą — Zarębska dzwoni — po chwili wchodzi Jan*). Jan poprosi tu do mnie pannę Zofję.

Jan. Słucham (*zmierza do pokoju Zofji*).

Zarębska. Tam jej niema — jest na balkonie.

Jan. A tak (*zawraca i idzie ku drzwiom salonu z przeciwnej strony sceny, po chwili wraca razem z Zofją i wychodzi*).

Zofja (*śladko*). Pani mnie wołała?

Zarębska. Tak.

Zofja (*z niezmierną uprzejmością*). Co pani każe?

Zarębska (*oschle*). Zauważyłam, że ostatnimi czasy pani gospodarstwo nieco zaniedbała.

Zofja (*zmiierzyszy uprzednio Zarębską wzrokiem, zorientowała się odrazu w sytuacji i odpowiada hardo*)
To się pani tylko zdawało.

Zarębska. To wszystko jedno.

Zofja (*czelnie*). Nie, to nie jest wszystko jedno.

Zarębska. Zresztą jestem już zupełnie zdrowa.

Zofja (*j. w.*) Mnie się zdaje, że jeszcze nie zupełnie.

Zarębska (*wzburzona*). To niech pani już mnie zostawi. Otóż pani jest wolna i może..

Zofja (*spokojnie i powoli*). Teraz latem jest o miejsce bardzo trudno, a więc odejdę stąd dopiero za trzy miesiące.

Zarębska (*gniewnie*). Zapłaci się pani za całe lato, a pani będzie łaskawa stąd jaknajprędzej się wyprowadzić, bo pokój mi jest potrzebny.

Zofja. O ile znajdę odpowiednie mieszkanie. Zresztą nie sądzę, abym się tak spieszyć potrzebowała.

Zarębska. Co to ma znaczyć?

Zofja (*głośno*). To znaczy, że ze mną komedji niema po co grać i że pani, mówiąc o swoim zdrowiu, chciała powiedzieć, że właściwie jedynaczkę jej jest już zdrów, a więc mnie można wyrzucić jako rzecz niepotrzebną.

Zarębska. Czego pani tak krzyczy — jam nie głucha.

Zofja. Taki mam głos od urodzenia — zmieniać go nie myślę.

Zarębska. Proszę się nie zapominać!

Zofja. A ja proszę, żeby pani razem ze swoją cnotą obłudną dobrze sobie zapamiętała, że ja się tak łatwo wyrzucić nie dam (*wychodzi trzaskając drzwiami*).

Zarębska (*po wyjściu Zofji wybucha płaczem*). Boże, Boże! Czego ja doczekałam, czego ja doczekałam... (*stara się sama zapanować nad sobą*).

Kazimierz (*pukając*). Czy można?

Zarębska. Proszę.

Kazimierz (*wchodząc*). Nie słyszałem już rozmowy...

Zarębski (*idąc do żony*). No i co, i co?

Kazimierz. Ale co się tutaj stało—ciocia płacze?

Zarębski (*przerażony*). Co to, Stasieczko droga?

Zarębska (*popłakując cicho*). Czego ja doczekałam, czego ja... Żeby taka... mną tak poniewierała.

Zarębski (*groźnie*). Zapłaci mi ona za to! (*zmięra ku pokojowi Zofji*). Taka! taka!

Kazimierz (*zatrzymując Zarębskiego*). Tylko bez szaleństw. Taka dama nie może przecież cioci obrazić — o tem zapominać nie należy.

Zarębski. A tak, masz rację (*całując ręce żony*). Uspokój się, aniołku, uspokój. No już, no już..

Kazimierz. To było do przewidzenia, że ona dobrowolnie nie ustąpi, nie spodziewałem się jednak, żeby odważyła się na coś podobnego. Skandalu za każdą cenę unikać należy. Ale to się wszystko da zrobić (*z pogroźką w głosie*), już ja ją uspokoję! Najlepiej będzie jeśli wujostwo rzeczywiście pojedą teraz na spacer, a ja skorzystam z tego, że Bolek jest zajęty i będę mógł z nią bez przeszkód pogadać.

Zarębski (*do żony*). Więc chodźmy (*podając rękę żonie, zwraca się do Kazimierza*). Załatw to z nią, proszę cię. Na pieniądze nie zważaj, niech tylko mi się jaknajprędzej stąd wynosi. A to bezczelność! A to dopiero! Patrzcie państwo, to śmie... (*wychodzi wraz z żoną, wraca jednak bezzwłocznie i staje bardzo blisko Kazimierza*). Tylko, uważasz... (*szepce mu coś do ucha*).

Kazimierz. Naturalnie, naturalnie.

(*Zarębski wychodzi, Kazimierz zaś idzie do pokoju Zofji, skąd po chwili słychać jego głos: „Słuchaj no ty“*).

Zofja (*ze swego pokoju*). Czego się tu pchasz?

Kazimierz (*ironicznie*). Cóż to, margrabianka nie przyjmuje?

Zofja (*ostro, już wchodząc*). Przyjmuje, nie przyjmuje, a ty mi tutaj nie leż i kwita.

Kazimierz (*idąc za nią—żartobliwie*). Cóżes taka wściekła, co?

Zofja. A bo mnie ta stara jędza do szewckiej pasji doprowadziła!

Kazimierz. No, no, no, nie zapominaj się. Podobno i ty jej strasznie napyskowałaś.

Zofja. A cóżes ty myślał, że się jej przelęknąm. O, jeszcze się ten nie urodził, co by mnie za łeb wodził.

Kazimierz. Ale czemu ty na mnie tak po zbójceku patrzysz, mało jedna, co?

Zofja. Boś ty mnie tu umieścił.

Kazimierz. A może ci tu źle było?

Zofja. Było dobrze i dalej musi być dobrze (*głośno*), bo ja siebie nikomu krzywdzić nie pozwolę, słyszysz, nie pozwolę!

Kazimierz. Nie wrzeszcz tak, do licha!

Zofja. Powiedz tej twojej cnotliwej ciotce, że jak mi porządnie nie zapłacą, to im takiego bigosu narobię: powiem wszyściuteńko temu ich ukochanemu idjocie...

Kazimierz. Słuchaj ty, oso wściekła, jak nie będziesz ze mną w tej chwili po ludzku gadała, to sobie stąd idę i znać cię więcej nie chcę!

Zofja. No, zostań — już mi przeszło (*śmieje się*).

Kazimierz. A teraz mnie przeproś—no, chodź tu i pocałuj (*po chwili*). No, chodź, kiedy ci każę (*Zofja*

zbliża się ku niemu). A teraz, przeproś, pocałuj, tylko prędko póki jeszcze mam ochotę.

Zofja (*całując go namiętnie*). Ach, ty andrusie przeklęty!

Kazimierz. Widzę, że odzyskujesz nareszcie przytomność.

Zofja (*ściskając go*). Żebyś ty jej tylko nie stracił...

Kazimierz. Nie trza się o to bać—u mnie to tak prędko nie idzie.

Zofja (*namiętnym półszepciem*). Zapewniam cię, że dziś tobyś stracił..

Kazimierz. Może być, może być; że jednak przytomność umysłu, ze względu na to, iż mamy mówić o interesach, jest nam na razie potrzebna, przeto nie traćmy jej oboje (*podsuwając jej krzesło*). Siadaj (*Zofja siada*). A teraz i ja sobie siadę i pogadamy (*siada*). Otóż, bez pieniędzy stąd nie wyjdiesz, ręczę.

Zofja. Ale, mój kochany, ja muszę wiedzieć ile.

Kazimierz. Hola! Cierpliwości i pokory, niewiasto!

Zofja. No, gadaj, tylko prędziej, bo ten cymbał zaraz przyjdzie.

Kazimierz. Przedewszystkiem, muszę cię prosić o niezapominanie, że o kuzynie moim należy mówić z większym szacunkiem, a następnie, radzę byś go nie traktowała tak pogardliwie, bo to dla ciebie jeszcze całkiem dobry interes.

Zofja. Już ja go mam dosyć. To jakiś półgłówek; żeby człowiek tyle pieniędzy codziennie wyrzucał na kwiaty, a nie domyślił się, że lepiej kupić coś z bi-

żuterji, albo przynajmniej jakiś porządny flakon pertum. Pamiętasz te perfumy w niebieskiem pudełku, coś mi raz przyniósł, jakim jeszcze była u staruszka? Mógłbyś i teraz takie podarować, tylko takie same, bo bardzo były dobre.

Kazimierz. Zrobi się, zrobi, ale trochę później, bo teraz jestem straszliwie goły.

Zofja (*gorąco*). Oj! żeby nie ta twoja wieczna golizna, to, jak mamę kocham, nikogobym prócz ciebie znać nie chciała i byłabym ci wierna!..

Kazimierz. Dajno spokój, proszę cię, przysięgom — w tej chwili szkoda na to czasu. A teraz uważaj, a dobrze, bo powiem ci coś, za co mnie z pewnością ze trzy razy pocałujesz.

Zofja (*bardzo zaciekawiona*). Słucham, słucham.

Kazimierz. Otóż, kiedy Bolek doszedł do pełnoletności, wuj złożył na jego imię do banku sześć tysięcy rubli.

Zofja (*ściskając i całując Kazimierza*). Pocałuję cię za to sześć razy po trzy razy...

Kazimierz (*odsuwając ją*). Tymczasem poprzestanę na tym skromnym zadatku—resztę mi później doliczysz.

Zofja. Kiedyś taki bezinteresowny, to mów, mów prędzej.

Kazimierz. Rzecz oczywista, że Bolkowi najzupełniej wystarczała jego miesięczna pensja, którą mu wuj oprócz tego wypłacał, i że pieniędzy z banku, choć je każdej chwili podnieść może, dotychczas nie naruszył.

Zofja (*szczerze*). A to osioł!

Kazimierz. A osioł. Otóż moja droga, jeśli on jeszcze jest w tobie zakochany...

Zofja. Nie uwierzysz do jakiego stopnia.

Kazimierz. Ślicznie.

Zofja (*rzucając mu się na szyję*). Jaki ty kochany, żeś mi to powiedział!

Kazimierz. Kobieto! mówię ci: daj spokój czułościom.

Zofja (*wystraszona*). Masz rację, masz rację; on może nadejść.

Kazimierz. Sądzę więc, że z łatwością uda ci się go nakręcić, żeby ci wynajął małe mieszkaneczko, a wtedy — pozwalam ci — możesz go naciągnąć na parę drobnych rzeczy z biżuterji, tylko uważaj! (*grozi jej palcem*) skromnie i ogłędnie, nie oskub go zbyt, bo ja nad tem czuwać będę.

Zofja. Ty mnie znasz; wiesz, że ja sumienie mam.

Kazimierz. Sumienie?.. A tak, masz, masz sumienie.

Zofja. Ty złodzieju najslodszy! (*w sachwycie*). Jak mamę kocham, ty jesteś wprost genialny!

Kazimierz. A widzisz, ja ci to zawsze mówiłem. Teraz, dziecinko, ja sobie już pójdę, a ty, pamiętaj, bądź tu grzeczna i we własnym interesie staraj się o rychłą przeprowadzkę. No, daj buziaka (*chcąc ją pocałować*).

Zofja. Nie, daj spokój—nie trzeba ryzykować—on może nadejść. Ale za to o rezultacie rozmowy

z nim, to ja cię jutro, lub najpóźniej pojutrze o zwykłej porze przyjdę zawiadomić.

Kazimierz. Wiesz, lepiej nie; mam jeszcze egzaminy i muszę się uczyć.

Zofja. Słuchaj no ty, patrz w oczy, uczyć czy włóczyć?

Kazimierz. Jak cię szanuję, nadobna, uczyć, niestety, uczyć. No, adieu.

Zofja. Adieu, adieu! W takim razie napiszę ci *(łękliwie oglądając się na drzwi ścisła go i całuje parę razy)*. A teraz zmykaj. *(Kazimierz wychodzi; po jego wyjściu Zofja zakręca młynka, zaciera radośnie ręce, potem staje przed lustrem, a wreszcie siada z robotką i wyszywa. Dłuższa chwila milczenia, potem z korytarza słychać rozmowę Bolesława z Janem.)*

Bolesław. Czy rodzice wyszli?

Jan. Tak, proszę pana.

Bolesław. A pan Kazimierz?

Jan. Także.

Bolesław *(wchodzi, zamyka drzwi i, wyciągając ręce, dąży ku Zofji)*. Nareszcie!!

Zofja *(padając mu w objęcia)*. O mój najdroższy!

Bolesław. Najdroższa moja, ukochana *(całuje ją i tuli)* jedyna! *(znów pocałunek)* nie masz pojęcia, jak ja tęskniłem, jak się wyrzywałem ku tobie.

Zofja. I mnie było tęskno i smutno, i nudno samej.

Bolesław. Moja ptaszyno ukochana *(całuje ją)*. Chętnie bym go przepędził, ale cóż — nie można było

(z uśmiechem). Dotychczas szanowałem bardzo tego Krypskiego, a okazuje się, że to złodziej.

Zofja (*przerazona*). Co ty mówisz?

Bolesław. Czy nie ukradł nam przeszło pół godziny czasu?

Zofja (*śmieje się*). O tak, ukochany.

Bolesław. To bardzo zdolny człowiek, pisze teraz nader zajmującą pracę, czytał mi ją, ale nic nie rozumiałem, udawałem tylko że go słucham, lecz myślą, duszą, sercem i ciałem nawet byłem przy tobie, w twoim prześlicznym pokoiku. Jak tam u ciebie ślicznie. Tyle razy już ten pokój widziałem, a za każdym razem wydaje mi się ładniejszym...

Zofja. Dzieciaku mój słodki, przecież tam nic takiego niema.

Bolesław. Ale ten pokój jest pełen ciebie (*całując ją namiętnie*). Wiesz, chodźmy tam dokończyć herbaty...

Zofja (*śmiejąc się*). Kiedyśmy wcale, kociaku, herbaty nie zaczęli, a zresztą już dawno jest po herbacie.

Bolesław. Proszę cię...

Zofja. Tam nie można.

Bolesław. Błagam cię, nie okradaj mnie i ty — jesteśmy sami — już od kilku dni tu w domu nie byliśmy sami (*chce ją pociągnąć za sobą*).

Zofja (*miętko, ale stanowczo*). Kiedy doprawdy, Boleszku, nie można (*gorąco*), ja pragnę tego, tak jak ty, ale nie można — służba jest w domu. Ty się wcale z tem nie liczysz, że możesz mnie skompromitować.

Gdyby twoi rodzice się dowiedzieli, jabym chyba umarła ze wstydu...

Bolesław. Moja miłość jest tak czysta, że cię splamić nie może, oni zaś są tak dobrzy, szlachetni i tak mnie kochają, że wszystko zrozumieją i wybaczą.

Zofja. Tak, tobie, ale mnie... (*wzdycha*).

Bolesław. Nam obojgu, najdroższa.

Zofja. W każdym razie tak dłużej być nie może. Powinniśmy szanować ten dom. Ja sobie to już dawno powiedziałam, ale ta miłość nieszczęsna ogłupiała mnie, pozbawiła mnie woli i zawsze ulegałam, a później wyrzucałam sobie, żem była dla ciebie za dobra. Ale teraz postanowienia swego nie zmienię (*patetycznie*) choćby mi serce pęknąć miało. (*po chwili*). Bolku! ja się muszę stąd wyprowadzić.

Bolesław (*przerażony*). Chcesz mnie rzucić?

Zofja (*tuląc się do niego*). O nie. Czyż w tej chwili wyglądam na samobójczynię, a rozstanie się z tobą równałoby się dla mnie śmierci. Lecz ja koniecznie muszę matce twej podziękować za miejsce i zamieszkać, najśladzszy mój, (*tuli się do niego*) gdzieś, gdziebyśmy się mogli widywać bez przeszkód — zdala od wszystkich...

Bolesław. Wola twoja jest dla mnie świętą — kiedy tak chcesz koniecznie, to tak będzie (*zakłopotany*). Trzeba tylko pomyśleć, gdzie cię umieścić — u kogo. .

Zofja (*przymilając się do niego*). Nad tem pomyślimy oboje.

Bolesław. Ostatecznie znajdzie się coś odpowiedniego, gdziebyś się nie czuła samotną i miała odpo-

wiednią opiekę, ale doprawdy, najdroższa moja, ja na formy świata i jego konwenanse najmniejszej nie zwracam uwagi i dlatego nie wiem, czy warto na tak krótko.

Zofja (*zupełnie serjo przerażona*). Jakto na tak krótko? Czy masz mnie już dosyć?

Bolesław. Nie bluźnij, Zosieńko moja.

Zofja (*jeszcze z lękiem*). Więc...

Bolesław (*obejmując ją*). Nie zrozumiałaś mnie, jedyna, a to przecież takie proste (*prowadzi ją do krzesła, sadowi na niem*). Siadaj maleńka, ot tak. A teraz posłuchaj, zaraz ci to wytłumaczę...

KONIEC AKTU III-go.

A K T IV=ty.

Ten sam pokój, co w pierwszych aktach. Zarębska przygnębiona przysłuchuje się bezradnie burzliwej rozmowie męża z synem.

Bolesław. Jak ty możesz tak mówić, ojcze, jak możesz...

Zarębski. Mogę i muszę, muszę.

Zarębska. Dziecko moje kochane, serce mi pęka z bólu, gdy patrzę na ciebie, ale my się na to zgodzić nie możemy.

Bolesław. To tylko upór, który ja złamię...

Zarębski (*wzburzony krzyczy*). Za naszego życia nigdy — słyszysz — nigdy!

Bolesław. Tak ci, ojcze, mówić nie wolno... Boli mnie to niewymownie, że i wy jesteście również w jarzmie tych przesądów. Przecież wy powinniście być zadowoleni, że ja chcę założyć rodzinę...

Zarębski (*śmieje się gorzko*). Cha! cha! cha! rodzinę chce założyć... Tak powinniśmy się cieszyć (*do Zarębskiej*). No, czemu się nie śmiejesz, nie tańczysz z radości, że masz tak dobrego syna...

Bolesław (*zwracając się do Zarębskiej*). Tyleście mi razy mówili, że tego tak pragniecie, a że kobieta,

którą pokochałem nie ma pieniędzy, jest córką rzemieślnika — to przecież nic nie znaczy — byleby była uczciwym człowiekiem.

Zarębski. A jesteś ty tego pewien?

Bolesław. Czego, ojcze?

Zarębski (*ironicznie*). Tej jej uczciwości?

Bolesław (*groźnie*). Ojcze!!

Zarębska (*cicho jakby do siebie*). Boże! mój Boże!

Bolesław (*powoli, starając się zapanować nad sobą*). Ojcze! proszę cię, pamiętaj o tem, że ją Kocham, (*z siłą*) Kocham!!

Zarębski (*krzyczący*). A pomimo to mówię ci, że ta pani...

Bolesław (*również podniesionym głosem*). Ojcze! proszę cię!!

Zarębska (*wylekniona do Zarębskiego*). Zostaw go już teraz — on taki rozdrażniony.

Zarębski (*nie słysząc żony, kończy zdanie*). Tak jest, ta pani (*z goryczą*) należy do kategorii tych dam..

Bolesław. Kłamiesz!

Zarębski. Jak śmiesz!!

Zarębska (*przerazona*). Jezu mój! Bolku! (*błagalnie*). Boleczku! zastanów się...

Bolesław (*wyczerpany pada na krzesło i po dłuższej dopiero pauzie mówi złamanym głosem*). Wybacz mi ojcze! ja nie wiem co się ze mną dzieje, ale pomyśl gdyby twój ojciec mówił tak wobec ciebie o mojej matce.

Zarębski. (*oburzony*) Jak śmiesz taką, taką... porównywać z matką...

Bolesław. Ojczy! jeszcze raz cię błagam nie uwłaczaj kobiecie, którą kocham, która (*dobitnie*) będzie moją żoną. Ja przecież całą jej przeszłość znam...

Zarębski. Czy tak?.. I od kiedy to?

Bolesław. Ona mnie ani przez chwilę jedną nie okłamywała; powiedziała mi wszystko bezzwłocznie, kiedym jej miłość wyznał...

Zarębska (*przerazona*). To nie może być! Ty wiesz wszystko i pomimo to?

Bolesław. Tak, mam, i pomimo to... Słuchajcie: prawo, które zna tylko karę, a nie zna przebaczenia, i ono przecież nie karze tych, którzy się okraść pozwolili, lecz tych tylko, którzy kradną. Dlaczego więc ona ma być tak bezwzględnie potępiona? Czy za to, że jakiś łotr przyszedł do niej, gdy była jeszcze dzieckiem, zyskał sobie jej zaufanie pozorami udanej dobroci, a potem okradł i porzucił?...

Zarębski. I to już wszystko?—Wzruszająca historyjka, trzeba być jednak takim, jak ty, głupcem, żeby w nią uwierzyć.

Bolesław. Widzicie więc, że ja jej przeszłość znam i właśnie za tę jej przeszłość—za te męki i upokorzenia — kocham ją, kocham bezgranicznie (*pausa*). Od tygodnia męczycie mnie, torturujecie, a przecież to wszystko nadaremnie, bo ją poślubię, poślubić muszę. Więc, gdyby była wdową, lub rozwódką, zgodzilibyście się?... Słuchajcie! jakich ja mam słów użyć, żeby was wzruszyć?... Matko! mateńko! miejże ty litość...

Zarębska (*placząc*). Dziecko! dziecko ty moje! to nie może być!..

Bolesław (*rozpaczliwie*). Ale dlaczego, matko, dlaczego?

Zarębska. Wierzaj mi, dziecko, że gdyby była w ostatniej nędzy, gdyby była córką człowieka występnego nawet—przycisnęłabym ją gorąco do serca, jako tę, którąś ty wybrał i pokochał, ale...

Bolesław. To są słowa, tylko słowa, matko!..

Zarębska. Cóż ja ci więcej powiedzieć mogę.

Bolesław. Matko! kobietą jesteś, więc powinnaś być wyrozumiałą, powinnaś zrozumieć, że ta przeszłość jej przecież nie płami, bo ona tego, który ją uwiódł, kochała...

Zarębski (*szorstko*). Dość o tem. Powiedziałem, że my nigdy na to nie zezwolimy.

Bolesław. Ojczy! to ostatnie twoje słowo?

Zarębski. Ostatnie.

Bolesław (*do matki*). Czyś słyszała, mamó, co ojciec powiedział?

Zarębska (*cicho*). Słyszałam.

Bolesław. R... (*długa pauza*). Milczysz, matko? (*pauza*). Więc i ty... (*po chwili*). Dobrze więc, niech i tak będzie. (*głucho*) Od dziś wyprowadzam się stąd...

Zarębska (*strasznie wylękniona rzuca się ku Bolesławowi*). Bolku! ty tego nie zrobisz!..

Bolesław (*spokojnie*). Zrobię, mamó.

Zarębska (*rozpaczuje*). Ja cię nie puszczę!..

Bolesław. I ja postanowienia swego nie zmienię (*Zarębska wybucha płaczem*). Nie płacz, mamó, bolą mnie twoje łzy, ale tak być musi. Nie mam sobie nic

do wyrzucenia; zrobiłem wszystko, aby was przekonać i przebłagać, lecz dla waszego niezrozumiałego uporu nie będę łamał życia ani jej, ani sobie. Wy ustąpić nie chcecie, ja ustąpić nie mogę: dla mnie ona już jest moją żoną, dla ludzi zaś będzie nią za parę dni. To moje niezłomne postanowienie, daję wam na to słowo, a wiecie, że nigdy jeszcze słowa nie zламаł.

Zarębska (*błagalnie*). Boleczku!..

Zarębski (*do żony*). Miejsze choć odrobinę godności. Ja mam przecież jeszcze nadzieję, że on rozum odzyska... (*uśmiecha się ironicznie*).

Bolesław. Jeśli myślisz, ojczy, że mnie zagłodzisz, to się mylisz: wiesz przecież, że lekcyj i to dobrze płatnych mogę znaleźć znacznie więcej, niż będę potrzebował na utrzymanie moje i żony.

Zarębska. Bołku! zaufaj nam... Wiesz przecież, że my pragniemy tylko twego szczęścia...

Bolesław (*dość szorstko*). Wiem, mam, tylko że ja to szczęście inaczej pojmuję (*zmierza ku drzwiom swego pokoju, Zarębska szlocha*). Wierście, że mnie to wszystko nie mniej niż was boli, ale — wybaczcie — inaczej postąpić nie mogę (*Zarębska wciąż płacze*). Uspokój się, mateczko, nie płacz; z czasem przekonacie się żeście niesłusznie postąpili, i znów wszystko będzie dobrze, tak jak dawniej (*wychodzi*).

Zarębska (*staje przy drzwiach pokoju Bolesława i zagląda, — po chwili mówi, drżąc z trwogi*). On zabiera się do pakowania!... Adasiu! słuchaj! on gotów to uczynić. Idź tam, powstrzymaj go. powiedz... O, Boże! Boże!...

Zarębski (*cicho*). Bądź spokojna; za chwilę będzie tu Kazio i przyniesie wszystkie jej listy do niego...

Zarębska (*nie rozumiejąc*). Jakie listy?

Zarębski. No, jej.

Zarębska. Ale do kogo pisane?

Zarębski. Do niego, do Kazia. — Ha, trudno: trzeba ci to powiedzieć (*ciszej*). Ona przez cały czas, jak tu była, utrzymywała stosunek z Kaziem — przychodziła do niego.

Zarębska (*zatrzęsła się cała*). O, Boże jakie to wstrętne, jakie to brudne...

Zarębski. Ja o tem nic nie wiedziałem — zapewniam cię... Dopiero wczoraj...

Zarębska (*w śmiertelnej trwodze*). — I ty chcesz mu te listy pokazać — i powiedzieć o wszystkim?

Zarębski. Tak.

Zarębska (*przerazona*). O wszystkim?

Zarębski (*z odcieniem tryumfu w głosie*). — O wszystkim.

Zarębska. Adasiu!.. człowieku! czyś ty się zastanowił?..

Zarębski (*z determinacją*). Zastanowiłem się.

Zarębska. Na miłość boską! nie czyń tego!..

Zarębski (*wzruszając ramionami*). A czy jest inna rada?.. (*Zarębska milczy*). Wolisz może, żeby poszedł do tej...

Zarębska (*milczy, a po chwili wybucha płaczem*). Boże! co za nieszczęście! co za nieszczęście!..

Zarębski. Proszę cię, przestań teraz...

Zarębska. Przeczynałam, że taka droga tylko na brzeg przepaści prowadzić może. A broniłam się—wzdrygałam — zmusiliście mnie... (*zawodzi*).

Zarębski. Miejsze rozum.

Zarębska. O, czemu ja nie wytrzymałam! czemu uległam!..

Zarębski (*podchodzi do stołu, nalewa do szklanki wodę, dalewa wina i podaje żonie*).—Proszę, napij się.

Zarębska (*w milczeniu bierze szklankę i pije*). Dziękuję... (*chwila ciszy*).

Zarębski. Kto to wszystko mógł przewidzieć. Chcieliśmy przecież jaknajlepiej. Ha! trudno, trzeba brnąć dalej — byleby tylko wybrnąć z tego.

Zarębska (*już nieco spokojniejsza*). Tak, masz rację, innej rady niema...

Zarębski. Nie gryź się tak—nie trap. Stało się.

Zarębska. Moje biedne dziecko. Jakże on teraz cierpieć będzie.

Zarębski. Nikt przez całe życie po różach nie stąpa. Będzie go to bolało, ale i wyleczy radykalnie. Zresztą poboli, poboli i przestanie; tak jest w życiu (*zdenewrowany chodzi po pokoju, Zarębska zastoniła twarz rękami i w tej pozie, jakby skamieniata, pozostaje przez dłuższą chwilę*).

Bolesław (*wchodzi bardzo blady — wzruszony — stara się jednak panować nad sobą*). Mamo...

Zarębska. Co dziecko?

Bolesław. Czy Jan jest wolny?

Zarębska. Tak.

Bolesław (*dzwoni—po chwili wchodzi Jan*). To ja

dzwoniłem — Jan będzie łaskaw zapakować mi moje książki.

Jan. Które, panie doktorze?

Bolesław. Wszystkie.

Jan (*zdziwiony*). Wszystkie?

Bolesław. Tak. I rzeczy moje także.

Jan. Czy pan doktor wyjeżdża?

Bolesław. Tak. (*Jan jest mocno zdumiony, nie mówi jednak nic i czeka*).

Zarębski (*spokojnie*). Przecież możesz do jutra poczekać.

Bolesław. Nie, nie, mogę (*do Jana*). Proszę zrobić tak, jak kazałem.

Jan. Dobrze panie doktorze (*wychodzi*).

Zarębska (*po wyjściu Jana drżącym głosem*)
Bolku! i ty doprawdy chcesz... (*łka*).

Bolesław. Ja muszę, mam!

Kazimierz. (*wpada strasznie zziębły*). Dobry wieczór.

Zarębski. Dobry wieczór. (*cicho do Kazimierza*)
Przyniosłeś?

Kazimierz. Tak (*wręczając Zarębskiemu paczkę listów*). Oto są...

Zarębska (*cicho jakby do siebie*). Boże mój, Boże!..

Zarębski (*po przejrzeniu listów*). I wiesz ty, szaleńcze, dla kogo chcesz rzucić rodziców?

Bolesław (*dumnie*). Wiem ojcie: dla mojej żony.

Kazimierz (*chichocząc*). Nie doprawdy, skonać można...

Bolesław (*bardzo wzburzony*). Proszę cię, abyś

się zachowywał inaczej (*głośniej z naciskiem*), z większym szacunkiem.

Kazimierz. Przy wymawianiu imienia pani doktorowej...

Zarębska (*karząco*). Kazio!..

Zarębski (*do Bolesława*). Otóż, wiedz, że chciałeś nas rzucić dla kobiety, która...

Bolesław (*znużonym głosem*). Ja już od ośmiu dni ciągle to słyszę, ale to jej dotknąć nie może (*Kazimierz znów się roześmiał, lecz pod wpływem spojrzenia Bolka zamilkł*). — Niejednokrotnie ci już mówiłem i teraz powtarzam, że dla mnie jest ona — pomimo swej przeszłości — o wiele czystsza od tych wszystkich dobrze urodzonych i dobrze odżywianych panien, z pośród których chciałeś sobie wybrać synowę.

(*Kazimierz zakneblował sobie usta pięścią, żeby się powstrzymać od śmiechu*).

Zarębski. Dowiedz się więc wreszcie, że ta pani to ostania ścierka, to ladacznica, która...

Bolesław (*zaciskając pięści, - strasznie*). Milcz... ojczel!...

Zarębska. Jezus! Marja!

Kazimierz (*stając między Bolesławem a Zarębskim*). Opamiętaj się!

Zarębski (*zjadliwie*). Nie przeszkadzaj mu—niech jej broni, niech broni...

Bolesław (*złamanym, znużonym głosem — z wyrzutem*). Dlaczego mnie doprowadzasz do tego?

Zarębski. A więc...

Bolesław (*zmierzając ku wyjściu*). Ja już nic słyszeć nie chcę, ja tego już słuchać nie mogę!..

Zarębski (*zastępując mu drogę*). Pójdiesz jeśli zechcesz, ale wprawdzie mnie wysłuchasz.

Bolesław (*zmęczony*). Przecież to bezcelowe.

Zarębski. Od sześciu tygodni — takeś mi przynajmniej mówił — ona jest twoją, a oto patrz — tu są jej miłosne liściki, pisane (*wskazując Kazimierza*) do niego przez cały czas jej pobytu w naszym domu, a ten oto — patrz — pisany jest przed trzema tygodniami, wtedy, kiedy jeszcze nie przypuszczała, że jest taki warjat, który się zechce z nią ożenić (*rzuca listy na stół*).

Bolesław (*który jakby w obłędzie słuchał słów ojca, nagle ocknąwszy się*). To nieprawda! to potwarz!

Kazimierz. (*z całym spokojem*). Znasz chyba jej pismo, a tu są listy, czytaj, — przekonasz się.

Bolesław (*patrzy na Kazimierza, jak na gadzinę, a potem bierze listy — czyta — jest jakby w gorączce, cały złamany, nogi się pod nim uginają — słania się — nie śmie ze wstydu podnieść oczu i tak wchodzi do swego pokoju*).

Zarębska (*serdecznie*). Moje biedactwo. .

Zarębski. Biedny chłopiec...

Kazimierz. Doprawdy, żal mi go, on się tak przeje muje...

Zarębska (*cicho do siebie*). Tak, tak, takie rzeczy bezkarnie ujść nie mogą... Ale dlaczego on tak cierpi?

Kazimierz. Niech ciocia nie tragizuje. Prawda, że to przykre, ale było niezbędne. Taka błotna kuracja jest bardzo pożyteczna: zaraz otrzeźwieje.

Zarębska (*do siebie*). Jak ja mu teraz w oczy spojrzę...

Kazimierz. Zapewniam ciocię, że byłoby o wiele gorzej, gdyby ciocia tak codziennie spoglądać musiała na swą miłą synową.

Zarębski. Tak, tak, wszystko byle nie to.

Zarębska. Jak się to skończy? jak się to wszystko skończy?

Zarębski. Mam nadzieję, że już się skończyło.

Zarębska (*z wyrzutem do Kazimierza*). Ja ciebie nie znałam... Jakieś ty mógł taką...

Kazimierz (*oschle—wzruszając ramionami*). Moja ciociu, przecież naiwnej panienki wprost z pensji tu sprowadzić nie mogłem...

Zarębska. Ale jakieś ty śmiał...

Kazimierz. Zapewniam ciocię, że tu u was na nic takiego sobie nie pozwoliłem — ona zawsze do mnie przychodziła. Zresztą niech ciocia dziękuje Bogu, że tak jest, bo gdyby nie te listy Bolek byłby stracony...

Zarębski. Cicho. Zdaje się, że on idzie.

Bolesław (*bezsilny prawie wchodzi, przypada do rąk oica i całuje je*). Ojczy! przebacz mi, przebacz mi!..

Zarębski (*wzruszony*). No, no, uspokój się.

Bolesław (*klękając przy Zarębskiej*). Matieńko moja kochana!.. (*kładzie głowę na jej kolana*).

Zarębska. Dziecko moje drogie... (*gładzi mu włosy ręką—pieści go, jak małą dziecinę. — Ta milcząca scena trwa przez chwil kilka*).

Bolesław (*wstał, wyprostował się i idzie do Ka-*

zimierza). Precz!—No! (*Kazimierz stoi nieruchomo*). Jakież ty śmiał, pod jeden dach z moją matką, swoją...

Kazimierz. Tyś jest bliższym krewnym tego dachu, a jednak...

Bolesław (*wściekły*). Ty, ty!.. (*po chwili jakby do siebie*). Nie, to nie do uwierzenia (*pauza — znów się zwraca do Kazimierza*). Precz! Nie znam cię więcej i to nigdy—przysięgam, nigdy! nigdy!—Precz łotrze!

Kazimierz (*groźnie zaciskając pięści*). Proszę cię, nie zapominaj się... Ja tego nie zniosę!

Zarębski (*blady — z postanowieniem*). Bolku! ty go zbyt krzywdzisz...

Bolesław. Ja — jego...

Zarębski. Wiesz przecież, że on w gruncie rzeczy złym nie jest... zresztą nie wiedział...

Bolesław (*gorzko*). Nie wiedział... on zgrzeszył przez nieświadomość... Daruj, ojczy, ale nie pojmuję, jak możesz choć jedno słówko...

Zarębski. On przecież nie miał złych zamiarów...

Bolesław (*zdumiony*). Ja ciebie nie pojmuję, ojczy?! (*do Kazimierza*). Sądzę żeś zrozumiał nareszcie, że tu dla ciebie miejsca niema (*Kazimierz robi ruch w stronę drzwi z takim jednak wyrazem twarzy jakby chciał powiedzieć: Ha, trudno, trzeba warjatowi ustąpić*).

Zarębski. Zresztą, Bolku, nie on jeden jest winien temu co się stało... myśmy o wszystkim wiedzieli...

Kazimierz (*głośno*). Ależ, wuju!

Zarębski. Tak myśmy wiedzieli.

Bolesław (*nieprzytomnie*). Co? co?.. O czym? (*walczy ciężko z nacierającymi nań myślami, nie może*

jednak im sprostać). Co? wy?! wy?!.. (*patrzy błędnym niemal wzrokiem na wszystkich po kolei, lecz oni mileżą*).

Zarębski (*po chwili dopiero*). On to zrobił za naszą wiedzą, na naszą prośbę — z przywiązania do ciebie. (*Bolesław patrzy na ojca obłąkanym wzrokiem*) Pamietasz kilka miesięcy temu był tu doktor Wolski...

Bolesław (*śmiejąc się spazmatycznie*). Ha! ha! ha! rozumiem, kapłan wiedzy (*z sarkazmem*) i kochający rodzice!.. (*pada na krzesło i obejmuje oburącz głowę*). Taki brud! taki brud! (*po dłuższej chwili zrywa się i zwraca do matki*). Mamó! i tyś o tem wiedziała (*milczenie — z rozpaczą*). Wiedziałaś?

Zarębska (*bardzo cicho*). Wiedziałaam... (*cicho płacze i stoi przed synem jak skazanka, oczekująca wyroku*).

Bolesław (*zachwiał się, oparł twarzą o ścianę i zawodzi*). Całą moją młodość, duszę moją, wszystko co było najlepszego we mnie — w kałużę... (*po chwili zaczyna łkać*). Dlaczegoście to zrobili, dlaczegoście to zrobili?.. — (*szlocha*).

Zarębska (*błagalnie*). Nie potępiaj nas — przebacz...

Zarębski. To nas: mnie i matkę wiele bezsensnych nocy i łez kosztowało.

Bolesław. W takie błoto! w taki brud!..

Zarębska. Dziecko! tu szło o twoje zdrowie, może nawet o życie...

Bolesław. A teraz? Teraz nie idzie już o moje życie, uratowaliście mi je!.. mogę teraz żyć, żyć!.. (*znów wybucha spazmatycznym śmiechem*).

Zarębski. To nas usprawiedliwić powinno, że...

Bolesław. A kto wam powiedział, że ja za taką cenę chcę żyć, kto?! Dlaczegoście się mnie nie spytali o to?..

Zarębska. Przebacz nam, synu, ale myśmy przecież...

Bolesław (*gorzko*). Wiem żeście to zrobili z miłości dla mnie, żeście się nawet poświęcili dla mnie... tylko, że ja zbyt drogo (*z mocą*) całym mojem złamanem życiem za to poświęcenie płacić muszę.

Zarębska. Dziecko moje, wierzaj...

Bolesław. Wierzę, wierzę... i nie mogę wam tego nie przebaczyć, żeście mnie przez miłość swoją zniszczyli... Serceście mi wydarli i rzucili w bagno... (*jakby do siebie*). Moje życie skończone, bo przecież bez duszy żyć nie można, a ja duszę moją przelałem w tę... (*po chwili z postanowieniem*). Ale teraz stąd iść muszę, zanadto was kochałem, abym wam mógł nie przebaczyć, a ta krzywda... ta mimowolna krzywda jest zbyt wielka, żebyśmy mogli żyć razem.

Zarębska (*rzuca się ku niemu z krzykiem rozpaczy*). Dziecko moje!

Bolesław. Nie zatrzymuj mnie, matko! Nie chciałabyś chyba, abym stracił dla was szacunek, a toby się stało z pewnością, gdybym został z wami.

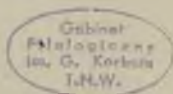
Zarębski. Bolku!

Bolesław. Nie męczcie mnie. Tak być musi! (*zbliża się do Zarębskiej*). Żegnaj, mamoo... (*schyla się żeby ją pocałować w rękę i z krzykiem*). Nie mogę!.. nie mogę! (*wybiega*).

(Zarębska tka, Zarębski jest przy niej, nie śmie jednak do niej przemówić, żeby ją uspokoić).

Kazimierz *(patrzy za Bolesławem z politowaniem i zdumieniem zarazem, wreszcie wzrusza ramionami i mówi):* Warjat, kiepski warjat...

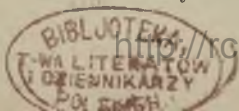
K O N I E C.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
90-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

Druk W. Cywińskiego, Nowy-Świat № 36.

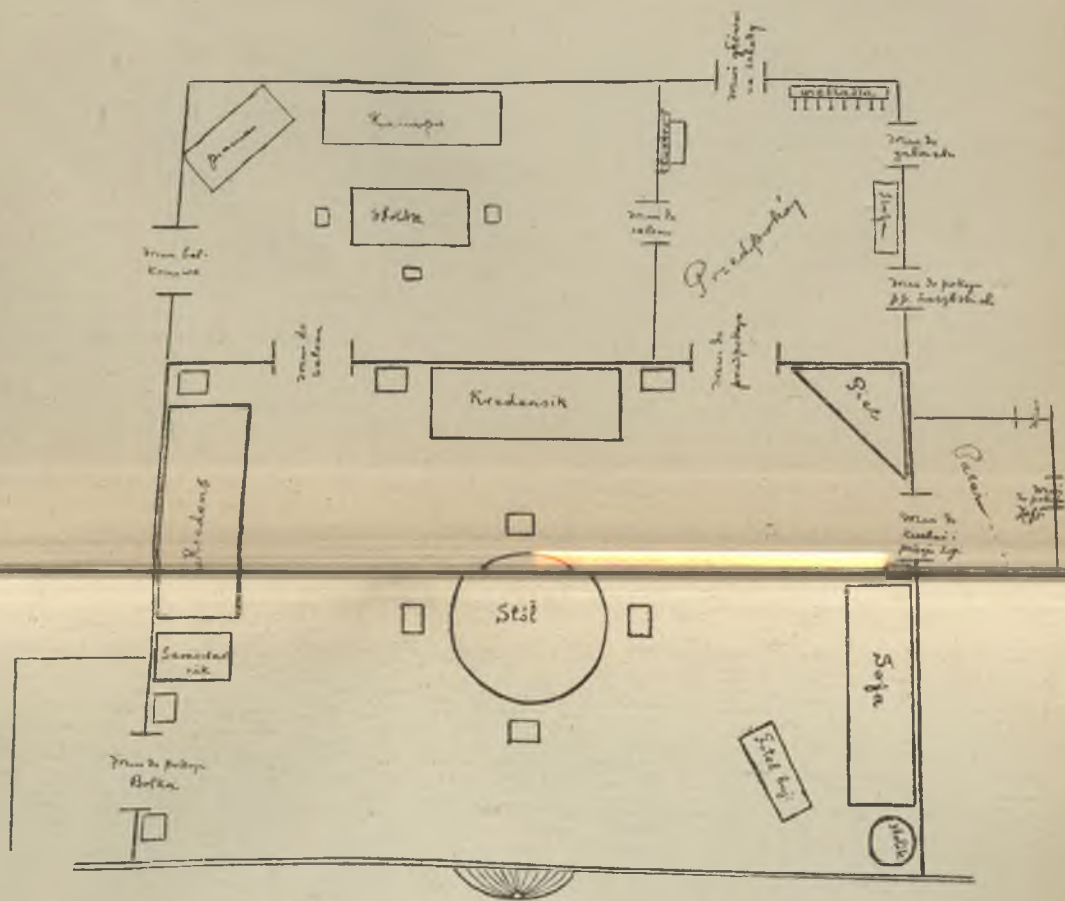
e.905
-1800



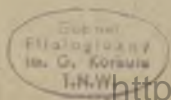
<http://rcin.org.pl>

„U źródła cnót”

na scenie teatru Rozmaitości — podług planu
reżysera Antoniego Bednarczyka.



- Nad kredensikiem regał
 Nad sofę lustro, lub obraz
 Nad stolem lampa + drzewce na ścielę
 Na sofach obrazy
 Kuchnia



<http://rcin.org.pl>

K

20.21

„SCENA I SZTUKA”

JEDYNY W JEZYKU POLSKIM TYG. ILLUSTROWANY POŚWIĘCONY SPECJALNIE SPRAWOM

Teatru, Muzyki i Sztuk plastycznych

zamieszcza *artykuły z dziedziny wszystkich gałęzi sztuki; sprawozdania z bieżącego ruchu teatralnego i muzycznego; kronikę sztuk plastycznych, dział sztuki stosowanej, przegląd sztuki polskiej i obcej w korespondencjach własnych; repertuary teatrów polskich: sylwetki i portrety artystów, ilustracje cenniejszych przedstawień teatralnych, dzieł sztuki etc.*

WYCHODZI STAŁE W SOBOTY W OBJĘTOŚCI 16-20 KOL.

Między innymi pracami drukować będzie: „Mieczysław Karłowicz” — H. Opińskiego; „Rola Zbigniewa” — Mikulskiego i „10-lecie liry” — Ignacego Chabielskiego; „Teatr prowincjonalny w Królestwie” — Czesława Wiśniewskiego; „Złota Czaszka” — R. S. Kamińskiego.

„SCENA I SZTUKA” specjalnie odzwierciadla życie *Towarzystw i kółek dramatycznych i muzycznych, dając historję ich powstania i sprawozdania z ich działalności.*

„SCENA I SZTUKA” udziela *fachowych porad* stowarzyszeniom dramatycznym i muzycznym oraz *kółkom amatorów* i na żądanie *przesyła katalogi, wydawnictwa etc.*

„SCENA I SZTUKA” wprowadza stały dział, dotyczący życia *towarzystw chóralnych* i będzie *łącznikiem* ich działalności artystycznej.

Przedpłata wynosi z odnoszeniem rocznie . . . Rb. 6.00

Z przesyłką pocztową z odnoszeniem rocznie . . . Rb. 7.40

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI

Warszawa, ulica Nowy Świat 36. Telefon 43-36.

Administ. czynna od g. 10—3; Redaktor przyjmuje od g. 5—7 pp.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i kantory pism.

Redaktor i Wydawca IGNACY CHABIELSKI.

K
20215